

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



**№ 22.**

Prenumerata w Warszawie. rocznie rsr. 8,  
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, <sup>13</sup>/<sub>25</sub> lutego 1860.  
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie  
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal.  
rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

**TOM I.**

## TREŚĆ NUMERU.

Stanisław Jachowicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych (z dwoma cynkotypami). — Kościół i klasztor Świętokrzyski na Łysej górze (z dwoma drzeworytami). — Zamek w Uniejowie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Kronika zagraniczna. — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Ambicja, humoreska Władysława Małyszewskiego (ciąg dalszy). — Młodemu artyście nieuczynna przestroga (poezya). — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

### Stanisław Jachowicz.

Jest naprzeciw Sandomierza wieś Dzików, przy miasteczku Tarnobrzeg z klasztorem na piasku stojącym, przedzielona od Sandomierza i Wisłą i granicą. Dzików należy do Galicyi, do obwodu rzeszowskiego, i ma pałac hr. Tarnowskich, których pełnomocnikiem był ojciec naszego Jachowicza. W téj to wsi dnia 17 kwietnia 1796 roku urodził się nasz Stanisław; a gdy ojciec jego wkrótce potem życie zakończył, zajęła się wychowaniem syna bogobojna matka, Wiktorja z Dobrzańskich, i wuj jego. Ten ostatni, mieszkający w obwodzie stryjskim, miał synów u profesora Promińskiego w Stanisławowie. Stanisław, przebywszy szkoły niemieckie w Rzeszowie, uczęszczał tu razem z wujeczni braćmi swojemi do szkół łacińskich czyli gimnazjum. Jestto ten sam Stanisławów, na ślicznej równinie Pokucia, pomiędzy Karpatami a Dniestrem położonej, który Andrzej Potocki roku 1662 ze wsi Zabłocie na miasto przeistoczył i obwarował, a od ojca swego, Stanisława Rewera Potockiego, Stanisławowem nazwał. Jest to ten sam Stanisławów, w którego kollegiacie pochowany jest Stanisław Potocki, syn założyciela, z napisem polskim: „Daj Wiedniu chwałę Bogu, Najjaśniejszemu królowi polskiemu dziękuj, a dzieła Polaków do wieków wystawiaj! poległ dnia 12 września r. p. 1683“ (w oswo-bodzeniu Wiednia pod Janem III Sobieskim). Jest to ten sam Stanisławów, w którego szko-łach r. 1749 kształcił się nasz sielanko-pisarz Karpiński, rodem z Hołoskowa (o mil 3 na południe Stanisławowa leżącego). Chociaż w gimna-zyum panował wyłącznie język łaciński i nie-miecki, Promiński, odbywający częste z ucznia-mi swemi przechadzki w okolice Stanisławowa, wlewał w ich młodociane serca zamiłowanie języka i rzeczy ojczystych. W jesieni r. 1815 Jachowicz przybył na uniwersytet lwowski. Dzieli się ta świątynia nauk na wydziały: teologiczny, prawniczo-administracyjny i le-karski; lecz do żadnego z nich niemożna było dostać się jak po skończeniu 3-letniego wydziału filozoficzne-go. Wpisał się więc Jachowicz na ten ostatni, a cho-ciaż językiem panującym był znowu łaciński i nie-miecki, i chociaż wykład nauk w ogólności był nader mierny, jaśniała jednak wszechnica ta profesorem

historji powszechnéj, jakich wtedy może zaledwie kil-ku było w Europie. Był nim Dr. filozofii Józef Mauss, szwajcar z Szafuzy. Po śmierci syna cesarskiego w Wie-dniu, którego był nauczycielem, przeniósł się r. 1811 do Lwowa, a jako mąż prawy i światły, pokochał cał-ém sercem Polaków, chociaż języka ich nie posiadał. Nie miał on odczytów (prelekcyj), ale zawsze sto-jący, stylem zachwycającym, z pamięci do młodzieży przemawiał, i pewnie zaraz w pierwszym roku wstą-pienia jego na katedrę, władze miejscowe byłyby mu szkodziły, gdyby Mauss nie był był znany osobi-

mołdzież polską, i był jéj nauczycielem, mentorem; pożyczając jéj książek polskich, zachęcał do tłumaczeń i prac oryginalnych w języku narodowym i wspierał radą i czynem rozwijające się talenta.

Ci to dwaj mężowie byli wówczas prawdziwymi me-cenasami młodzieży akademickiéj lwowskiéj; a cho-ciaż z jednéj strony ciągle na największe wystawieni byli przeszkody i zmartwienia, mieli z drugiéj stro-ny radość, iż usiłowania ich wspierali: Dr. filozofii Ignacy Pollak, rodem z Szlązka, który na uniwersy-tecie lwowskim stylem czarującym wykładał naukę estetyki, i Ludwik Dmuszewski, który ciągle najnowsze sztuki dramatyczne polskie, z War-szawy, Kamińskiemu (nieraz bezpłatnie) nad-syłał. Okoliczności te, oraz biblioteka uniwer-sytetu, zawsze od 9 do 12 i od 2 do 4 otwarta, i codziennie przez tłumy uczniów odwiedzana, musiały na młodzież akademicką wywrzeć wpływ korzystny (ob. Ludwika Pietrusińskiego: *Czyli pamiętasz?* w tomie III *Wieńca*, pisma zbiorowego (Warszawa r. 1858), i artykuł jego *Dniestrzanka Jaszowskiego* (tamże), ob. oraz życiorys Jana Nep. Kamińskiego, skreślony p. L. Pietrusińskiego w *Życiorysach znakomitych ludzi, wstawionych w różnych zawodach*, wy-danych przez K. W. Wójcickiego, w Warszawie r. 1850). Panowała wtedy we Lwowie litera-tura francuzka i niemiecka. Co do książek pol-skich, zamknięcie granicy galicyjskiéj od strony księstwa warszawskiego, a potem królestwa polskiego sprawiło iż:

Nie było książek polskich, oprócz kalendarza, Modlitew, katechizmu i elementarza,  
A od tych co się legły w Wrocławiu u Korna,  
Odstraszala młódz chętną cena ich potworna.

Drukarnie we Lwowie były tylko dwie, i to w ręku Niemców. Gazeta polska jedna, lecz nie wychodziła codziennie, a właścicielem jéj był Niemiec, i do tego urzędnik. Cenzura najo-strzejsza. Jęto się więc do przepisywania dzieł i pism polskich. Gazeta polska otrzymała do-datek *Rozmaitości*. Adam i Walenty bracia Chłę-dowscy, przyjaciele Kamińskiego, zaczęli roku 1816 wydawać *Pamiętnik lwowski*. Po jego upadku nastąpiła *Pszczola lwowska*, a po niej Ferd. Chotomski i Eugeniusz Brodzki wydawali *Pamiętnik galicyjski*. Jan Julian Szczepański, Tad. Chochlik Wasilewski wspierali wydawców pracami swemi, a Sta-nisław Jaszowski zbierał u siebie swoich współpracowników na posiedzenia literackie polskie. Piérwszym preze-sem na nich był Jachowicz, sekretarzem Leopold Ma-jewski; z członków późniejszych wymieniam tylko za-cnego Tomasza Baranieckiego (którego życiorys ob. Nr. 18 Tygodnika).  
— Ostre egzamina z matematyki, filozofii, fizyki, nau-



STANISŁAW JACHOWICZ.

(Rysował Polkowski, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

ście cesarzowi Franciszkowi I.

Obok ogólnych promieni oświaty, które Mauss, za-palony przyjaciel młodzieży, rzucał codziennie peł-nemi garściami 500 uczniom swoim, uczył ich wów-czas języka i literatury narodowój Jan Nepomucen Kamiński, swemi przedstawieniami teatralnemi. Przy-był on na 2 lata przed Maussem, z towarzystwem ar-tystów swych z Odessy; a jako mąż z wyższém wy-kształceniem i poglądem na rzeczy, zapalony miłośnik oświaty i literatury ojczystej, gromadził koło siebie

ki religijnej i greczyzny, przerzedzały co pół roku szeregi młodzieży wydziału filozoficznego, a olbrzymi nawał skryptów łacińskich (w powyższych przedmiotach) rugował a nawet wytepliał wszelką polszczyznę. Ale tylko chwilowo, bo wkrótce wszystko znowu wracało do dawnego zapału. Jachowicz umieścił już był niejedną pracę swoją w pismach peryodycznych, kiedy w lecie 1818 spadło na niego szczęście, o jakim nawet i marzyć nie śmiał. Sylwery Strzelecki, radca prokuratori królestwa Polskiego, przybywszy za urlopem do Lwowa, oświadczył mu, iż gotów jest wziąć go z sobą do Warszawy! Pomimo różnych trudności Stanisław nasz stanął w stolicy nadwiślańskiej, i przyjął do kancelaryi prokuratori, zapoznał się w niej z Kaźmierzem Brodzińskim.

Znalazłszy kilka lekcji, rozwinął w sobie taki dar wymowy, taki słodki i ujmujący sposób udzielania nauk wiekowi młodocianemu (mianowicie na pensyi pułkownikowej Wilczyńskiej), iż wkrótce orędownicy Jachowicza namówili go do poświęcenia się wyłącznie temu zawodowi. Jakoż Jachowicz aż do ostatnich lat życia, t. j. przez lat blisko 38, był w Warszawie prywatnym nauczycielem młodzieży polskiej.

Działalność Jachowicza w zawodzie nauczycielskim była szlachetna, pełna poświęcenia się, olbrzymia.

Wiek dziecienny, ów wiek swobody niewinnej, ów prawdziwy wiek złoty, tam ma swoje ciernie, swoje cierpienia, swoje piekło, gdzie sposób udzielania początków nauki dziatwie nie jest zastosowany do jej pojęcia; gdzie przymus i groźba wtłaczają w umysł młodociany wiadomości niepojęte, niezrozumiałe, które kamieniem ciężką w głowie dziecięcą. Wtedy nauka uważana jest za karę, na którą ród ludzki w młodości jest skazany. Wtedy wiek młodociany, nudzony i trapiący pracą, której użytku wcale nie pojmuję, nabiera wczesnie odrazy do nauk, która później wsiąka w cały sposób myślenia dorosłego człowieka, i sprawia, że całe pokolenia uciekają nieraz od książki, jakby od morowego powietrza.

Tymczasem, cóż może, cóż powinno być miłszem, co wznioślejszem nad naukę, nad naukę prawdziwą, nad ową niebiankę, która nam nasz padół płaczu, w raj ziemski ma zamienić? Wszystkie rozkosze duszy, wszystkie barwy ideału światła i cnoty, może splugawić niedołączny pedantyzm; może jak przymrozek w maju, ściąć najpiękniejsze zawiązki owoców; może, jak kurz, zużyć białość i świeżość szaty; może jak stosowna przyprawa uczynić niepożywnym najzdrowszy najsmakowitszy pokarm. Jachowicz przedsięwziął znieść klęskę, która tak często młode pokolenie zaraz przy pierwszym wstępie jego na świat spotyka. Jachowicz dążył do tego, aby wyrazy: *nauka, lekcya, szkoła*, przestały być postrachem dla dziatwy. Jachowicz dzień i noc przemyślał nad tem, aby dla nowego pokolenia naukę moralności, naukę cnoty, naukę czytania i pisania, naukę zasad własnego języka, uczynić miłą, lubą, pożądaną; aby dzieci naukę tę pokochały, aby zatęskniły za nią, aby do nauki tej śpieszyły, jak do ukochanej matki, a nie uciekały od niej jak od macochy. Jachowicz poświęcił całe życie zadaniu, aby je nauka radowała, uszczęśliwiała, stała się dla nich zabawą, grą, rozkoszą, nagrodą. Jako wytrawny psycholog, Jachowicz w wykładzie swoim zniżał się aż do najmłodszego wieku uczni i uczenie swoich; badał ich wyrazy, myśli, wyobrażenia, chęci, marzenia nawet, a posiadając gruntowne wykształcenie, olbrzymi zasób wiadomości, wrodzony dowcip, wesoły temperament, nieograniczone zamiłowanie dobra powszechnego, umiał na dziatwie stanów wyższych i niższych, w pałacach hrabiowskich i w chatce ubogiego wyrobnika, tak przeważnie robić wrażenie, iż dzieci przepadały za nim, i każde jego słówko, każdy jego giest, jego minę, jego przestrożę, skwapliwie chwytali. Przyczynił się do tego i urok, jaki miła powierzchowność jego, owe regularne rysy twarzy, oko jasne niebieskie, blond włosy, luby uśmiech ust jego, dzwiczny głos i szlachetna postawa na młodem pokoleniu wywierała. Niedziw więc, że zewsząd dziatwa rodziców o Jachowicza prosiła; że pokolenie młode lgnęło do niego, i że różne obywatelstwo z prowincyi, li tylko dla Jachowicza z drobną dziatwą swoją Warszawę zamieszkiwało.

\* \* \*

Lecz nie dość na tem. Jachowicz nie poprzestał na żywym słowie. Wiedział on, że słowo, nieujęte w piśmo ulatuje, a w końcu przebrzmiewa. Cało-

dziennymi lekcjami strudzony wracając do zagrody domowej, lub korzystając z wolnej chwili porannej, chwycił za pióro, aby swe myśli, powiastki, nauki, przelać na papier, aby nie sama dziatwa Warszawska była uczestniczką nauk jego, aby słowa jego dosięgły ostatnich krańców kraju naszego, aby nietylko współczesni, ale i potomni nauczyciele i nauczycielki, przyszłe matki i przyszła dziatwa korzystać mogły ze słów, z miłego, swobodnego, zachwycającego wykładu jego. Tak r. 1824 wyszedł w Płocku nakładem drukarza Kuliga, pierwszy tomik *Bajek i powiastek* Jachowicza, który w latach 1826, 1827 i 1829 cztery razy przedrukowanym być musiał.

Zbiór ten urósł w 6tym wydaniu do liczby 4 tomików, z których pierwsze 3 wyszły r. 1842, a 4ty roku 1847. Roku 1827 wyszła również w Płocku nakładem Kuliga *Pamiętka dla dobrych dzieci*, a następnie *Nauka w zabawce* (Warszawa r. 1829), *Dzienniczek dla dzieci* (4 tomy, r. 1830), *Zabawka dla małych dzieci* (r. 1837) nakładem Glücksberga, *Rozmowy mamy z Józją* (2 tomy, r. 1846), *Pamiętka dla Eryczka* (2 tomy r. 1846, 3ci r. 1847, 4ty r. 1852), *Czytania Józji* (r. 1847, nakładem Fridleina), *Zabawka abecadłowa* (r. 1848), *Kalendarzyk dla dzieci* (jeden na r. 1848, drugi na r. 1849), *Sto nowych powiastek* (r. 1850, drugie wydanie r. 1855), *Pisma różne wiérszym* (r. 1853), *Spiewy dla dzieci z nutami* (r. 1854), *Książeczka dla Stojcia* (r. 1855), *Nowe spiewy dla dzieci* (r. 1856), *Cwiczenia pobożne* (r. 1857).

Wszystkie z powyższych pism, przy których nakłady i miejsca druku nie wymieniłem, wydał Jachowicz w Warszawie, i swoim własnym kosztem. Rozleciały się one po całym obszarze dawniej Polski, i trafnie ks. Żmijewski w mowie swiej żałobnej powiedział, iż niema zakątka w kraju naszym, w którymby imię Jachowicza znanem nie było. Prawie wszystkie egzemplarze powyższych dziełek znikły już oddawna z handlu księgarskiego, i dlatego dziatwa powitała z radością wydany r. 1858 pośmiertny *Elementarz Jachowicza*, 24 drzeworytami ozdobiony, a wszyscy przyjaciele młodzieży polskiej przyjęli z radością wiadomość, że spółka wydawnictwa biblioteki domowej w Żytomierzu, wydrukowała teraz siódme wydanie *Bajek i powiastek* Jachowicza. Każdy, kto zwróci uwagę, że oprócz wydania powyższych książek, Jachowicz zasiliał piórem swoim różne pisma czasowe, że miał współudział w noworocznikach *Melitele* Odyńca i *Jutrzenka Janickiego*, że różne utwory Jachowicza wyszły oddzielnie, jak wiérsze: *Nadwiślanie*, *Ojciec do syna rolnika* albo *Rady wuja dla siostrzenic* (których aż 3 wydania odbić musiano), kto się dowiódł, że po Jachowiczu pozostały jeszcze różne zasoby literackie w rękopismach, ten się zapyta z zadziwieniem: „żkąd mąż ten znalazł tyle czasu do tego wszystkiego?”

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika tygodniowa.

Cichy on był i potulny dość, bez wielkiego więc hałasu zeszedł z tego świata, ten biedny nasz karnawał, który nawet obowiązkowemi maskaradami nie mógł starczyć do ostatka.

A wiecież od czego post, owo umartwienie ciała, owa pokuta za nadużycia zapustowe, rozpoczyna swoje powołanie, i daje nam znać o sobie?

Oto od ogłoszeń kupców pojawiających się ze wszech stron, o różnych zamorskich przysmaczkach, rybach, przekąskach, napojach, i innych śniadanych osobliwościach.

Więc tedy zmysł smaku jest miarą, po której rozpoznawać mamy pory roku. Dziwnie jakoś brzmią nam w uszach te przysmaki postne w porównaniu do sposobu w jakim przodkowie nasi pojmowali te siedm tygodni prywatni i umartwienia. Boć im nie o miano szło ale o rzecz, unas nazwy pozostały, grunt rzeczy zmienił się za to.

Dziwnie bo doprawdy były niekiedy umartwienia, jakimi karali siebie niegdyś ludzie tak zwani dawniej daty, za owe grzechy zapustne. Znalіśmy mianowicie jednego, który lubując się namiętnie wżazywaniu tabaki, przez całe siedm tygodni postu, ślubował ani tknąć się ulubionego proszku. A niemałe to było dlań poświęcenie. I co gorsza nieszczęśliwy ów,

utrzymując że wążanie nie jest zażywaniem, otwierał nieraz tabakierkę, którą zawsze dla narażenia się na większą pokusę i zwalczania jej nosił z sobą, i wciągał w nos aromatyczną woń, tyle pożądanego kordyaku. Co też to za Tantalowa męczarnia była dla niego? Utrzymywał on, że przez ten czas nos mu kurczył się, sechł i malał, że gdyby pokutę przeciągnął do pół roku, co mu jednak wydawało się nad siły ludzkie, z pewnością zostałby pozbawionym tej najpiękniejszej ozdoby twarzy.

Ale też kiedy nastąpiło długo oczekiwane nabożeństwo rezurekcyi, na którym był zawsze obecny, kiedy kapłan wyrzekł uroczyste *resurrexit sicut dixit*, pan Antoni powtórzywszy uroczyste słowa za kapłanem z rozjaśnionem obliczem i skwapliwością czystego sumienia, dobywał tabakierki, pukał w nią z całej siły, i taką porcyę albanki pchał sobie w nos, że mu literalnie na kilka minut oddech wstrzymywała. Nigdy, mawiał on, nie był tak szczęśliwym jak w owych chwilach, a przez całe pierwsze trzy dni wielkanocne miał niestrawność tabaczną.

Nie śmiecie się czytelnicy z tej pocziwój ofiary pana Antoniego, prostota ducha była najpiękniejszym przodków naszych przymiotem, aże my ją zatracamy powoli w sobie, niezawsze to na naszą dzieje się korzyść.

W zeszłą sobotę, w teatrze Rozmaitosci przedstawiono oryginalny szkic dramatyczny p. Pieńkowskiego *Scena za sceną*. Publiczność z żywym współczuciem przyjęła ten plód młodego jeszcze bardzo pióra. Naturalnie jak zawsze w tego rodzaju utworach bywa, poeta gra pierwszą rolę, jego uczuciastanowi tło na którym autor najbardziej efektowne sceny przagnął rozwinąć. Tak każdy z piszących przy początkach swojego zawodu mimowolnie samego siebie bierze za bohatera swojego dzieła, sądzi bowiem, że co jego osobiście zajmuje, to i innych przedewszystkiem zająć powinno.

Nie piszemy krytyki, bo też *Scena za sceną* nie wytrzymałaby jej; to jednak pewna, że p. Pieńkowski posiada niezaprzeczone zdolności które należałoby rozwinąć i pokierować. Frazeologia bogata, zapału wiele, często prawdziwe uczucie przebija w deklamacyjnych tyradach i monologach z których się cała prawie sztuka składa. Ale młody autor powinien pamiętać, że publiczności nic do tego kto napisał dzieło które się pod jej sąd oddaje, ani jakim je sposobem napisał. Pamiętam że jakiś dziesięcioletni chłopak dawał tu koncert na którym obecny pewien tutejszy znawca muzyczny dość się nieprzychylnie o nim odezwał.

— Jakżeż można go ganić? rzekł ktoś, wszakże to dziesięcioletnie dziecko dopięro.

— A mnie co do tego, odpowiedział muzyk, czy ja się troszczę o jego wiek, kiedy ze swoją grą występuje publicznie i każe nam za nią płacić? Ja nie patrzę ale słucham, bo od tego tu jestem; niech ma tysiąc lat a gra dobrze.

Jest w tem wiele słuszności, chociaż z drugiej strony młode zdolności trzeba koniecznie zachęcać, i mamy za wielką zasługę dyrekcji, że nie odmówiła przedstawienia *Sceny za sceną* i wybornem obsadzeniem starała się tę sztukę o ile możności podnieść. Bo trzeba przyznać, że wszyscy artyści grali dobrze, ale pod każdym względem należy się palma pierwszeństwa panu Królikowskiemu, który swoją niewdzięczną i deklamacyjną rolę potrafił tak ucieniować, urozmaicić, ożywić, że sam autor, gdyby był na przedstawieniu swojego dzieła, dostrzegłby w nim nowych odcieni, których się może nie domyślał. Szczególniej zwróciło naszą uwagę, wyborne wypowiedzenie ustępu, czém jest teatr i jakie jego postannictwo u nas. Panna Pałińska, pani Rakiewiczowa w rolach aktorek, panna Gąsowiczówna w roli Maryi kochanki poety, dobrze się wywiązały z trudnych względnie zadań, toż samo mniej więcej można powiedzieć i o innych osobach wchodzących do sztuki, którą liczyć trzeba do najstarszanniej wystawionych u nas. Odznaczał się przed innymi pan Ostrowski w małej roli bankiera, stanowiąc najbardziej wydatną komiczną stronę tego szkicu. Widocznie tego rodzaju charakterystyczne role najwięcej przypadają do rodzaju zdolności młodego artysty i nie powinienby wychodzić z ich zakresu.

W Częstochowie, jak nam donosi korespondent z tego miasta, na dochód Instytutu muzycznego szykuje się koncert, w którym wszystkie tameczne mu-

zykalne zdolności mają wziąć udział. Rozmaite okolice kraju naszego pragną przyłożyć grosz swój do wzniesienia tej pięknej Instytucji, a zebrane fundusze coraz bardziej już zbliżają się do pożądanej cyfry. Oróżnorodnych ofiarach czytamy w gazetach; niedawno majster zduński ofiarował na wół darmo robotę swoją, wiemy także o innych ofiarach dowodzących zajęcia nawet u takich, u których ono najmniej mogłoby być spodziewane.

Komedia wiérsem *Plotkarz* p. J. Korzeniowskiego, o której pisaniu donosiliśmy uprzednio, ukończoną już została. W zeszyty czwartek sam autor odczytał ją w gronie kilku znajomych i przyjaciół. Nie uprzedzamy sądu publiczności, wkrótce bowiem, o ile słyszeliśmy, komedia ta ukaże się w felietonie jednego z pism tutejszych; to jednak pewna, że wszyscy wynieśliśmy z czytania tej komedii to pocieszające wrażenie, że prawdziwego talentu wiek i trudy osłabić nie potrafią, tak jak zawistne podszepty nie zniechęcają go do pracy. Niestety! im wyższe stanowisko potrafił kto sobie wyrobić w kraju i w szacunku współbraci, tém silniej zwykli na niego uderzać ci wszyscy, których wszelki blask razi, którym każde wyniesienie się nad zwyczajną normę, wydaje się zbrodnią przeciwko ogółowi wymierzoną, a u nas więcej i częściej niż gdziekolwiek indziej widzieć się to daje. Dziwny to ostracyzm. Zdawałoby się, że jacyś niby to przedstawiciele opinii publicznej, chodzą z ogromnym mieczem pośrodku naszego społeczeństwa i ścinają każdą głowę, która chociażby tylko o kilka cali przerosła zwykłą codzienną miarę. A nie przytaczamy nazwisk, mówiąc tylko w ogóle, bo też to prawidło zdaje się u nas ogólnie rozciągnięte.

Na co się zda praca, na co zasługi, na co długi szereg lat w krwi i pocie około dobra publicznego strawionych, jeżeli jedno dmuchnięcie wiatru wystarczy na odwrócenie od najbardziej zasłużonych opinii publicznej, na rozbudzenie pomiędzy nimi a ogółem, dla którego przez całe życie pracowali, nieufności gniewów, obwiniań wzajemnych. Wówczas lada mierności, lada nędzy umysłowej wolno wystąpić przeciwko prawdziwej zasłudze, mierzyć ją swoją stopą, kłaść niesłusznymi podejrzeniami, obrzucać błotem. Odpowie kto na to, że dużo wymagamy od tych, którzy na świeczniku stoją, ależ dlatego właśnie zasłużyli oni sobie u narodu, żeby nie starano się każdy ich krok zgóry i bez należytego przekonania się na złe tłumaczyć. Widząc taki los tych, którzy światłem i zasługą potrafili wznieść się nad innych, któż będzie chciał z nadwątleniem często sił własnych podejmować krwawy i niewdzięczny zawód, u którego kresu czeka go rozczarowanie, zniechęcenie i lodowa niewdzięczność. Czyliż dopiero po śmierci sprawiedliwość ma być oddana, zasługi uznane wynagrodzone trudy? Obejrzyjmy się po za siebie i policzmy tych, których imiona więcej są znane ogółowi. Smutną najczęściej miarą odplacono im za to odznaczenie się, niema tak czarnych zarzutów, które by się nie starano skalać ich przeszłość, zatruci resztki życia na usłudze współbraci stéranego Za kilku prawdziwie winnych, iluż to potępionych niesłusznie?

Nie gniewajcie się czytelnicy za tę odrobinę gorzkich prawd, wypowiedzianych w obronie starszych i zasłużeńszych braci. Wszakże post to pora rozmyślań, wnijścia w siebie, i rachunku z błędów. Wesołość i żart tyle razy z konieczności występować muszą na kartach tej kroniki, że godzi się choćby tylko dla prostego zrównoważenia rzeczy, pomoralizować trochę.

Przychylne się od nas należy wspomnienie Albumowi Lubelskiemu p. Leruego, którego 3ci i 4ty zeszyt drugiego oddziału, wyszły w tych dniach na widok publiczny. Dobra to i użyteczna publikacja, tém większą przynosząca zasługę artyście, który się jej o własnych siłach podjął, że publiczność niezbyt chętnie wspiera u nas przedsięwzięcia tego rodzaju. A jednak tyle malowniczych stron kraju naszego tak mało jest znanych ogółowi, tyle słyszeliśmy uzaleń na brak stosownych usiłowań w celu dania ich poznać. Ale o uzalenia u nas łatwo, dopiero kiedy przyjdzie do czynu, wyświeca się różnica pomiędzy słowami, a wprowadzeniem w wykonanie. Francuzi mówią, że piekło z samych dobrych zamiarów jest zbudowane, myśmy na naszej ziemi niejedno już pewnie piekło zbudowali sobie.

Słyszeliśmy że komedia p. Józefowicza *Ponaszemu*

która wzięła accessit na konkursie hr. Starzeńskiego, oraz druga komedia *Suknia balowa* podobno p. Karola Kucza, o której sprawozdanie komitetu przychylną uczyniło wzmiankę, mają być przedstawione na korzyść ubogich w teatrze Dobroczynności. Są to dwie bardzo pojętne nowości dla teatru amatorskiego. *Sukni balowej* nie znamy, ale komedia *Ponaszemu*, którą mieliśmy sposobność czytać, odznacza się wielkim humorem i ożywieniem, a tego rodzaju właśnie sztuki, najwdzięczniejszemi są do przedstawienia dla amatorów.

Widzieliśmy w tych dniach fotografie niezwykłej wielkości, wykonane przez p. Lewickiego. Są to wizerunki osób na arkuszowym formacie, odznaczające się bardzo wyraźnym odbiciem, a zbliżające się więcej już do zwyczajnego portretu niż do miniatury. Ulepszenia w sztuce fotograficznej szybkim postępują krokiem, a kilka odkryć świeżo dokonanych, zdają się coraz nowe nadawać jej zastosowania. Nam się wydaje, że kiedyś fotografia ściśle złączy się z drzeworytnictwem, i wspomóże je w szybkim rozpowszechnieniu wizerunków tego wszystkiego, co godnym jest zachowania.

Dziś także czytelnicy w bieżącym numerze naszego pisma mogą oglądać cynkotypy wykonane podług zupełnie nowego sposobu, którego wynalazcą jest również p. Lewicki, dyrektor części artystycznej Tygodnika Ilustrowanego. Zasługa tego nowego wynalazku w tem właśnie leży, że nie przysparzając kosztów, przyspiesza wykonanie, i tym sposobem czytelnicy Tygodnika, będą mogli mieć daleko wcześniej podawane sobie odwzorowania wszelkich uroczystości faktów godnych pomieszczenia na stronnicach pisma ilustrowanego. Pożądana to nowość przy trudnościach jakie nieraz nastęrcza staranne wykonanie drzeworytów u nas.

O nowościach miejskich niewiele jest do powiedzenia. W przyszłą niedzielę t. j. d. 4 marca r. b., ma być podobno danym w salach reductowych wielki koncert wokalnie-instrumentalny, pod dyrykcją Józefa Wieniawskiego, na korzyść biednych niemających żadnej opieki, z udziałem amatorów. Przy niskiej cenie biletów i doświadczonem już dobroczynności Warszawian, nie wątpimy o dobrym rezultacie tego koncertu. Z innych nowości brukowych zanotujemy to chyba, że jakiś tambur-major francuzki, wyębnił sobie dość liczną publiczność, okazując jej w cyrku na placu zielonym obrazy optyczne, i różne mniej więcej łamane sztuki. W dolinie znów szwajcarskiej p. Hoffman obznajmia nas z formacją kuli ziemskiej, w kontrfektach portretowanych z przedhistorycznych czasów. Widać jednak że nie uważa on języka polskiego za godny opisu tych starożytnych przedmiotów, bo zmusza publiczność do słuchania niemieckiego kazania, które naturalnie nie każdy rozumie. Z tego powodu gazeta niemiecka tutaj wychodząca, wzięła assumpt do powstawania na naszą stronniczość, twierdząc, że kiedyś mogli rozumieć pana Lemerier i innych przemawiających do nas po francuzku, to tém bardziej język niemiecki nie powinien nam być obcym. Cóż my temu winni? Ile razy zapragnęliśmy oswoić się trochę więcej z tą mową, tyle razy napotykalimy tak ostre wyrzekania na naszą dzikość i barbarzyństwo, że strach nas brał trwać dalej w tym zamiarze. Zdawałoby się, że język niemiecki po to tylko utworzony, żeby rzucać kłatwy na słowiańszczyznę, przynajmniej tak się pokazuje z wielkiej części nowopojawiających się prac autorów i publicystów niemieckich. Niebardzo oswojeni z wdziękami Witykindowskiego narzeczka, lękamy się czy p. Hoffman pod pozorem tłumaczenia nam dziejów świata pierwotnego, nie tnie filipiki przeciwko wszystkim błędom i zbrodniom polskim, które tak są solą w oku, tym cywilizatorom i dobroczyńcom naszym. A zresztą wszystko przemija i zużywa się, nawet zamiłowanie w figlach niemieckich, nawet bale w resursie kupieckiej, nawet moda szerokich sukien, nawet upodobanie w grze p. Ristori, nawet wieża św. Szczepana w Wiedniu, która podobno chyli się upadkowi. Mówią że jak się serce dzwonu na Wawelu urwało, to takie zrobiło się wstrząśnienie, że aż się zachwiała i Szczepańska wieża. Ale nam się zdaje że to plotki.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

### MUZYKA.

Hrabina, opera w trzech aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego, muzyka Stanisława Moniuszki (pierwsze przedstawienie dnia 7 b. m.).

Wystawienie u nas nowej oryginalnej opery, dla wszystkich lubowników muzyki narodowej jest prawdziwą uroczystością. Był czas, że młodsze pokolenie znało jej prawie, gdyż pomiędzy *Cecylią Piasieczynską* Kurpińskiego, a pierwszym przedstawieniem *Halki*, upłynęło lat trzydzieści prawie; w ciągu tego czasu dźwięki rodzinnej nuty na scenie przygłuchły, albo ograniczały się do małych i nieznaczających próbek. Dopiero gdy *Halka* swą tęskną i szeroką pieśnią owładnęła duszę słuchaczy, otwarły się gościnnie wrota teatru na przyjęcie sztuki miejscowej; wkrótce zaraz ukazał się *Flis*, następnie *Król pastery* Oskara Kolberga, *Wianki* Aleksandra Martina, a dnia 7 b. m. powitaliśmy nareszcie długo oczekiwaną *Hrabinę*.

Moniuszko w nierównie korzystniejszych dla siebie warunkach przystępował do napisania tej opery, niż do *Halki*; talent jego, powszechnie ceniony, wzbudzał ufność ogółu, podniecał wiarę w własne siły, upoważniał do powzięcia najpomyślniejszych o nowej pracy nadziei. Dwa lata w życiu artysty, gdy dobre chęci mu przewodniczą, gdy wrodzone zdolności na skrzydłach inteligencji do wzniesłego lotu się wzbijają, — to przestrzeń czasu nie dająca się cyfrą określić. Dlatego też, pomimo zupełnie odmiennego w treści zadania, na jakie rzucili się Włodzimierz Wolski i Moniuszko, dzięki zdobytemu już w pewnym stopniu doświadczeniu, wyszli z niego zwycięzko, a scenę naszą obdarzyli dziełem przynoszącem chlubę sztuce ojczystej.

Opera komiczna, zadanie to śmiałe i nie tak łatwe jak się niejednemu zdawać może; tutaj nietylko samego uczucia w dźwiękach melodii potrzeba, gdyż wtedy będzie ona bladą, czężą i martwą, ale humoru, dowcipu, lekkości, elegancji i życia przedewszystkiem. Kto przywykł do poważnego stylu twórcy *Halki*, kto pojął jak niezgłębionym liryzmem jest on wskrósł przesiąkły, temu zapewne wolno było powątpiewać o komicznej werwie kompozytora, chociaż we *Flisie* miał już sposobność złożyć jej maleńki dowód. Tymczasem w *Hrabinie* wszystkie te przymioty wyszły na jaw w tak wdzięcznej i swobodnej prostocie, że dziś już talent Moniuszki upoważnia nas do wielu w tym względzie wymagań na przyszłość.

Twórcy tej nowej opery przenoszą nas w epokę pierwszych lat bieżącego stulecia, eleganckie i zfrancuziałe towarzystwo znanego pałacyku *pod blachą* wprowadzając na scenę. Hrabina, piękna i zalotna wdówka, otoczona rojem wielbicieli, w salonie swoim urządza przyjęcie dla pani de Vauban, kobiety wywierającej niesłychany wpływ na ówczesne modne społeczeństwo; przyjęcie to składało się z balu kostiumowego i przedstawienia teatralnego. Neptun na Wiśle, Zefir i Flora, Syreny i cała rzesza półbożków mitologicznego świata, wszystko to, podług naprzd ułożonego programu, miało kolejno po sobie następować. Podczaszyc, podstarzały fanfaron, małpujący obyczaje modnego świata, Dwidzi (Zdzisław) elegant zalecający się do hrabiny i Kaźmirz mniej wykwinętego obejścia się salonowego, lecz prawej duszy i serca młodzieniec, ważny w tych przygotowaniach udział biorą. Ten ostatni tak dalece uwiedzionym jest wdziękami i kokieteryą hrabiny, że nie spostrzega wcale iż Bronia kocha go, tęskniąc skrycie w pośród nieustających stolicy zabaw do skromnego wsi ustroja, z którego ją dziadek chorąży wyrwał, by w salonie hrabiny, swęj powinowatej, poznała i ukształciła się w salonowym życiu wielkiego miasta. Skoro już wszystko należycie przygotowanym było na przyjęcie pani de Vauban, hrabina, przystrojona za Dianę w prześliczną suknię, podwyższającą jeszcze naturalne jej wdzięki, podaje Kaźmirzowi rękę, by pójść na spotkanie królowej modnego towarzystwa. Lecz o zgrozo! Kaźmirz nadeptał na suknię, na której uszycie sławna Łazarowiczowa trzy tygodnie czasu potrzebowała, i rozdarł ją okropnie! Straszliwym wybuchem gniewu odepchnięty, wzgardliwymi wyrzutami w obec współzalatników obarczony, porzuca ten świat elegancki, jego próżne i czcze uciechy, a bie-

gnie tam, gdzie dusza jego oddawna tajemnie się wrywała. Po upływie lat kilku, okryty chwałą, wraca do swoich, z sercem przepelnioném wdzięcznością dla chorążego i Broni, pielęgnujących w czasie nieobecności wojaka jego starą i cierpiącą matkę, zimny i obojętny względem hrabiny, która teraz, sprzykrzywszy sobie wycackanych wielbicieli, radaby stać się panią serca Kaźmirza i ofiarą swego, wynagrodzić zniewagę niegdyś mu wyrządzoną; ale ten, zagniony paplaniem podchmielonego podczasyca, oświadcza się chorążemu o rękę Broni, otrzymuje ją, ku wielkiemu oburzeniu rozgniewanej do żywego hrabiny — i na tém się sztuka kończy.

Taką jest w krótkich słowach treść tej pięknej pracy Wolskiego; humor i dowcip ożywiają ją wszędzie, a jeżeli akt drugi, wbrew wymaganiom sceniczności, wstrzymuje bieg akcji dramatycznej, jeżeli początek aktu trzeciego grzeszy liczbą idących po sobie monologów; za to druga jego połowa zaleca się ruchem pełnym życia i komicznej werwy. Wiersz wszędzie śliczny, gładki, swobodny, pod muzykę nadzwyczajnie składny, co właśnie główną jest ozdobą poetycznego talentu Wolskiego.

Jakże teraz chętnie radzibyśmy się rozpisać o udziale jaki przyjął na siebie kompozytor! Czém w obrazie jest rysunek, tém libretto w operze; muzyka nadaje mu barwę, ciepło, życie; dźwiękami harmonii dopełnia całości i tworzy dzieło sztuki; przyodziewa miękkim ciałem



Scena z 1go aktu *Hrabiny*, między chorążym a Kaźmirzem.  
Cynkotyp J. Lewickiego.

twarde i ostre kości skieletu, a ożywiając je duchem natchnionej melodyi, mniej więcej długie i trwałe istnienie im nadaje. Począwszy od uwertury, wszystkie ustępy muzyczne *Hrabiny* zalecają się bogactwem twórczych pomysłów i umiejętnością a zręcznością technicznego czyli instrumentalnego obrobienia. Wytworność, lekkość, dowcip cechują muzykę wyrażającą świat modny i elegancki; rzewność zaś i tęsknota głębszego uczucia, jest znowuż udziałem muzyki mającej uplastyczyć nam typy swojskie, narodowe. Czyż tajemnie duszy naszej nie poruszają się i nie zadrgają radośnie na odgłos duetu chorążego z podczasyca, toczącego się na tle poloneza, przesłanym na orkiestrę instrumentowanego, w którym wiolonczella solo występuje? Silniejsze może jeszcze wrażenie czyni piosnkapięrszego do słów:

Pomnę, ojciec waszin gadał:  
Jeśli w sercu co zakole,  
Lub kto sęka w głowę zadał,  
Ruszał bracie, ruszał w pole! i t. d.

Jest w tej melodyi, na pozór tak prostej, jedność i moc porywająca. Troschel, przedstawiający chorążego, śpiewa ją z siłą, uczuciem i zrozumieniem, godnym swego znakomitego talentu. Dajemy rysunek tej sceny, jako charakterystycznej w tej operze, by snadniej w uwadze czytelników utkwiła. Piosnki Broni, których jest trzy, to istne fiołki w tym bukietcie uwitym z rodzinnych kwiatów harmonii; są one skromne w formie, lecz pełne wdzięku i woni. Panna Chodowiecka starannie i sumiennie rolę tę przedsta-



Scena ostatnia 3go aktu *Hrabiny* „Kochajmy się.”  
Cynkotyp J. Lewickiego.

wia; w śpiewie jej poprawność znaczna, tylko uczucia mało; gdyby w deklamacji (mianowicie w piosnce drugiej) więcej życia było, nicbyśmy nie mieli tej artystce do zarzucenia.

Piękny polonez, poprzedzający rozpoczęcie aktu trzeciego, na trzy wiolonczelle, altówkę i kontrabas, tudzież chór za sceną:

„Pojedziemy na łów, na łów,  
Towarzyszu mój.“

którego dalsze zwrotki śpiewa podczaszyc, i nakoniec szlachecka piosnka wykonana przez chór i tegoż

A kiedy się pora zdarza,  
I taka doba,  
Pijmy zdrowie gospodarza,  
Co się podoba  
Przyszłych państwa młodych zdrowie,  
Wiwat żona, mąż!  
I kochajmy się panowie!  
Kochajmy się wciąż!

Tak, *kochajmy się*, najpiękniejszy to toast braterski, który kończył niegdyś swary i przyświecał każdej uroczystości domowej i publicznej; *kochajmy się!* toast prawdziwie narodowy, zawsze szczerze wznoszony, a nieraz, niestety, zapominany wprędce, ustępujący miejsca smutnym zwadom i sporom.

Pomimo jednak tych stronnictw i walk, braterska krew nie stygła w żyłach, bo szlachta nasza była całą jedną rodziną, połączoną węzłem przyjaźni i krwi, a dobrze powiedział ktoś, że aby tylko poszukać w którym rodowodzie, to się zawsze znajdzie gdzieś na czele jaki Radziwiłł albo Ossoliński, a pan brat chodzący u dołu. Powyżej przytoczony chór, na dawną polską nutę, prześlicznie kończy Hrabinę i odżywia w sercach słuchaczy wrażenie zacierających się powoli wspomnień lepszej przeszłości.

Inne ustępy, z pomiędzy których na szczególną uwagę zasługują: chór, duet podczaszycy z Dziadzi, tercet i finał w akcie pierwszym, chór balowy, arya hrabiny, arya włoska w starym stylu

przecież dla większej części publiczności, z tego właśnie powodu, mniej ponętami się wydają. Za przykład niech nam tu będzie wolno przytoczyć jedno tylko miejsce z opery, arietkę Dziejego w akcie trzecim: „Po co się to myśl natęża“. Kompozytorka sama



Figura kamienna na Łysiej górze.

wyborna, nadzwyczaj szczęśliwie pomysłana, melodia lekka, żywa, akompaniament oryginalny, świeży, dowcipny; Matuszyński doskonale ją śpiewa, jednym słowem wszystko przemawia na korzyść tego ustępu, a jednak przechodzi bez najmniejszego wrażenia.

całą operę też sama publiczność przyjęła z zapalem, nie szczędząc głośnych oznak prawdziwego zadowolenia.

Nie ma wątpliwości że artyści wiele się ze swojej strony do tego przyczynili. Panna Rivoli jako hrabina była znakomitą, Kamiński w roli Kaźmirza śpiewem zasłużył sobie na powszechne uznanie; o innych, jak pannie Chodowieckiej, Troschlu i Matuszyńskim, wspominaliśmy już po części, a Żółkowski, jako podczaszyc, nieporównany i, jak zawsze, wielki artysta.

## KOŚCIÓŁ I KLASZTOR ŚWIĘTOKRZYŻKI NA ŁYSEJ GÓRZE.

Pierwszą wzmiankę o klasztorze i kościele na Łysiej górze, znajdujemy pod r. 1166—7. Wtedy Jan arcybiskup gnieźnieński i Gedko biskup krakowski, znajdując się przy poświęceniu kościoła jędrzejewskiego, nadawali ze swojej szcudroblowości dobra temu kościołowi, a pomiędzy świadkami wymieniony jest po księciu Mieszku i opacie tynieckim Kaźmirzu, „abbas de Calvomonte“ bez żadnego imienia. Po nim już idą opat sieciechowski, drugi opat z Lekny, a potem szereg panów. (Kodeks Rzyszcz. III str. 7). Drugą wzmiankę o klasztorze zawiera przywilej Leszka Białego; książę pozwala tam Iwonowi biskupowi krakowskiemu boby na rzeczce Czarniej, a świadkiem na tym przywileju znowu podpisany opat z Łysiej góry, ale już tym razem z imieniem, nazywa się Lutfyd. Przywilej ten jest bez miejsca i roku, jak przywilej Jana i Gedka.

Kościół i klasztor już były sławne w r. 1260, kiedy Teleboga i Nogaj rozpuszczali drugie zagoni mongolskie po naszej ojczyźnie. Był na Łysiej górze wtenczas opatem jakiś Stanisław, krewny Bolesława Wstydlwego. Nawała mongolska, dostawszy się na szczyt



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR ŚWIĘTOKRZYŻKI NA ŁYSEJ GÓRZE.

(Rysował Kostrzewski, rytował Styfi w Warszawie.)

(śpiewana bardzo dobrze przez pannę Dowiakowską) chór syren, finał aktu drugiego i cały prawie akt trzeci, lubo pod względem muzycznym są nadzwyczajnych zalet, lubo wartością treści artystycznej sięgają wyżej nad sferę charakterystyki miejscowej,

Rzekłbyś iż publiczność nierada jest tej piosnce, nierada artyście ją wykonywającemu; więc albo niesprawiedliwą jest dla kompozytora, albo dla śpiewaka. Lecz na ten raz nie będziemy się sprzeczać z większością, a tym mniej czujemy w sobie do tego chęci, że

góry, zamordowała jego i 32 zakonników, inni podają że aż 82ch. Klasztor był bezludny długo po tej klęsce i opuszczony; dopiero na wezwanie Wstydlwego napłynęli na Łysą górę nowi zakonnicy, benedyktyni z Monte Cassino. Bolesław nowemi łaskami

obdarzał odrodzoną Łysą górę; pomiędzy innemi nadał klasztorowi na własność miasteczko Osiek. Leszek Czarny szedł za podaniami stryja i zatwierdzał jego przywileje dla Łysiej góry, brał w opiekę poddanych klasztoru, uwalniał ich od wszelkich podatków, nawet od obowiązku odbudowywania zamków w Sandomierzu, Krakowie, Lublinie i Łukowie. Zapisywał 5 grzywien srebra z kopalni bocheńskich (26 lutego 1286, —Kod. Rzysz. III 137).

W drugiej straszliwej nawale mongolskiej ocalał cudem klasztor. Ranni którzy wiedli na Polskę barbarzyństwo, zdjęci byli jakimś przestraczem i w przekonaniu że nie można tykać się świętych murów, z obawy kary Bożej, pominieli Łysą górę (w grudniu 1287).

Każmirz Wielki przeniósł wszystkie wioski łysogórskie z prawa polskiego na szredzkie (25 czerwca 1354 Kod. Rzyszcz. III str. 231). Ale w bezkrólewiu po Każmirzu, litewska ręka zniszczyła to, co oszczędziła mongolska. Lubart i Kiejstut albowiem, wracając z wycieczki pod Wislicę w r. 1370, kościół łysogórski obdarli z bogatych sprzętów i zabrali drzewo krzyża świętego, które już wtedy wielkiego blasku i sławy kościołowi po całej Polsce nadawało. Na granicach Polski wóz stanął, a ludzie, konie, woły, którokolwiek się dotknął wozu na którym drzewo święte spoczywało, na ziemię padali. Objaśnieni o przyczynie cudu tego Litwini, odesłali na miejsce zaraz drzewo krzyża św. i spokojnie do ojczyzny swęj wrócili. Od tego cudu największa sława Łysiej góry rozpromieniła się na Polskę.

Król Jagiełło z wielką był pobożnością dla świętego miejsca. Zwykle przed każdą wojną z Krzyżakami, długie tutaj modły odprawiał i czynił publiczne pokuty. Bóg próśb jego wysłuchał, dawał Polsce świętne zwycięstwa, więc król zléwał wielkie dobrodziejstwa na kościół i klasztor łysogórski: blachą ołowianą pobił dachy, sprawił organy kosztowne, a wewnątrz całe greckim kształtem pomalować kazał, co aż do bardzo późnych chwil przetrwało. Na prośbę swojego spowiednika, Mikołaja Mniszka, który z klasztoru łysogórskiego pochodził, król ten zatwierdził jeszcze wszystkie przywileje i nadania Każmirza Wielkiego dla kościoła św. Krzyża (w Łańcucie 25 kwiet. 1423, Kod. Rzysz. III str. 383). Za Jagiełły stanowczo już opatami po Włochach bywali tu Polacy; ostatni Stefan z Monte Cassino, opat, umarł r. 1400. Miejsce jego zajął natychmiast Mikołaj Bostowski h. Szeliga.

Obydwaj synowie Jagiełły potwierdzili znowu przywileje ojca, a co za tém szło i Każmirza Wielkiego. Warneńczyk najprzód zrobił to na sejmie krakowskim 11 stycznia 1440 (Kod. Rzysz. III 415—418). Później, już po za granicami ojczyzny, w Budzie 3 listopada 1442 nadał prawo niemieckie wszystkim posiadłościom klasztoru (tamże str. 418). Uderza tutaj okoliczność, że król nadaje prawem niemieckim włości już dawno niem nadane, i że niema o tém w przywileju żadnej wzmianki; nie jest to proste zatwierdzenie, jakby się tego spodziewać należało, dawnych wolności, ale nowa zupełnie łaska królewska dla klasztoru. Każmirz Jagiellończyk zaś potwierdził przywileje brata w Radomiu r. 1455. Potem zakazał woznym wybierać stacye i podatki od kmieci i w ogóle poddanych klasztoru (23 października 1464. Kod. Rzysz. III str. 442). Wreszcie, na prośbę opata Michała, zniósł doroczne jarmarki na górze Łysiej. Jarmarki te odprawiały się nie na mocy jakiego szczególnego przywileju, i nie stanowiły dla klasztoru dochodu, ale powstały tak same z siebie, bez przyczyny, jedynie zwyczajem. Bolał nad tém niezmiernie opat, bo bywało co roku zbiegnie się na Łysą górę moc ludu obojga płci i zewsząd na targowisku ogromnym słycać dźwięk rozlicznych instrumentów muzycznych: tu trąby, tam bębny i piszczałki rozlegają się w powietrzu, a lud wiejski zawodzi pieśni wesołe i światowe, rozwija koła taneczne, cieszy się i swawoli. Trafiały się i występki, co nic dziwnego, a śród zbiegowiska pokazywali się i złodzieje; ztąd wrzaski i gonitwy. Zdarzały się nieraz i zabójstwa, i nocne schadzki, a dzień i noc nie miał kościół spoczynku, ni benedyktyni nabożeństwa. Opat wszelkiemi siłami starał się to złe odwrócić, a kiedy nic nie pomogło, uzyskał rozkaz królewski, który jarmarki przeniósł do stóp góry, to jest do miasteczka Słupa (4 grudnia 1468, Kod. Rzyszcz. III, 444). Oznaczono dwa terminy do tych jarmarków, raz na Zielone Świątki, dru-

gi raz na św. Wawrzyńca. Sam król odwiedzał wtedy Łysą górę, bo przywilej jego datowany jest w Słupi.

Każmirz często odwiedzał klasztor świętokrzyski. Na wojnę pruską, podniesioną dla wyzwolenia braci ztąd poszedł. Niebo za jego czasów szczególnie ubłogosławiło cudami święty kościół, a cudów odtąd tak wielkie było mnóstwo, że wpisywać je zaczęli benedyktyni w osobną księgę. W r. 1459 dnia 8 paźdź. pożar zniszczył klasztor, przy czém wiele ucierpiał i sam kościół. Król własnym nakładem na nowo podniósł mury i szeroko je rozrzucił po górze, bo widział że dotychczasowy kościół ciżby całej, co się kupiła na praktyki pobożne, objąć nie może. Pomagał tutaj królowi kardynał Zbigniew, który także myśląc o powiększeniu kościoła, jako wielki dobrodziej klasztoru, dał sklepienie nad chórem. Pożar niezmiernie szkody zrzucił kościołowi i nauce, bo zniszczył najdawniejsze księgi rękopiśmienne, których na Łysiej górze taką moc zachowywano dla potomności. Starał się to król wynagrodzić rządem dobrym i starannym i dał klasztorowi na opata Michała z Lipia, tego samego co zniósł jarmarki. Był to mistrz akademii krakowskiej, człowiek uczony i dyplomata swego czasu, posłował albowiem kilka razy do papieża Mikołaja V i do cesarza Fryderyka. Człowiek głębokiej pokory, a ogromnej nauki, miły królowi, stanowi epokę w dziejach klasztoru świętokrzyskiego. Nigdy tak świetnie kościół nie stał; nabożeństwo było wspaniałe, podniosło się gospodarstwo klasztorne, do licznych włości przybyła Wąwolnica (1459). Zakonnicy jęli się pracy i przepisywali znowu księgi historyczne geściej jak zwykle, bibliotekę klasztorną zapełniły kodeksy i kopie z kościołów i akademii krakowskiej. Znakomity Michał z Lipia umarł 26 grud. 1477 r.

Niedbalstwo przełożonych zepsuło ład i karność po śmierci Michała. Nieukami będąc i w próżnowaniu lata swe trawiając, a czémby się słusznie zabawiać mieli, wedle stanu swego, nie wiedząc, na stronie od klasztoru mieszkając, karności kościelnej zaniedbali. W istocie zaraz pierwszy opat po Michale, Jan z Krakowa, chociaż był uczonym człowiekiem i doktorem, chociaż zajmował się gorliwie gospodarstwem, nie był bardzo przykładnym w życiu i ztąd wielce się przyczynił do rozwolnienia karności klasztornej. Władza zmusiła go wreszcie do tego, że się wyrzekł opactwa. Temu zbywało na nauce, innym znowu na innych przymiotach. A do tego jeden po drugim szybko następowali, więc żaden zasiedzieć się i o czémś stanowczém nie mógł pomyśleć. Kilku z nich składało godność swoją i wracało znowu do rządu po jakimś czasie. Przyszły i processy kosztowne. Klemens z Olszowy, opat, gospodarz wielki, utracił skutkiem przegranej sprawy z Hier. Łaskim, wojewodą sieradzkim, wsie: Koniemłoty, Święcice, Tukleczy i Czałów, nadane od Bolesława Chrobrego. Po nim Andrzej Poraj Kuczewski, opat, żył rozwięzle, dobra zadłużył, zniszczył budowlę; przez lat 37 rządził klasztor, ale w tym czasie nic dobrego nie zrobił dla Łysiej góry. Kuczewski dożył aż do roku w którym się koronował Stefan Batory.

Za Zygmunta III nowa zmiana. Król pragnął opactwo wziąć w swoją opiekę; gdy w skutek reformy religijnej zamieniły się klasztory w rodzaj rozsadników dla błędu, król mógł rozdawać opactwa ludziom z przywiązania do religii znanym. Od r. 1594 więc zaprowadził zwyczaj nominowania do klasztorów świeckich opatów.

Pierwszym takim opatem na Łysiej górze był ksiądz Michał Godziemba Maliszewski, sekretarz królewski. Przyjechawszy na św. Krzyż, nowy opat zdumiał się nad wielkim opuszczeniem w klasztorze i w kościele, jakie zastał. Pierwsze wrażenie było smutne, postanowił więc opactwo rzucić; ale stroskani zakonnicy, gorliwi w służbie Bożej, zatrzymali go prośbami i płaczem. Więc opat wziął się do pracy z całym poświęceniem, z całą gorliwością. Powoli obojętność zniknęła w nim, a rozwijała się miłość. Kroniki klasztorne wielce go sławią i nazywają niemal drugim założycielem klasztoru. Kościół odnowił, bogactwa jego przymnożył, probostwo szpitalne św. Michała pod samą górą założył. Człowiek wielkiego poloru i wielkiego widoku, znał potężnych ludzi w rzplitej, doznawał pomocy od króla, który miał szczególniejsze nabożeństwo do kościoła na Łysiej górze. Modlił się tutaj król pozwyjętwe guzowskim, a w lat kilka przysłał jako votum trzy posągi srebrne własnej roboty, przez syna swojego, królewicza Władysława.

Następca Maliszewskiego, ksiądz Bogusław Boksa Radoszewski, pierwszy był z opatów łysogórskich biskupem. Był to konieczny skutek nowej zasady rozdawania opactw. Dawniej zakonnik cieszył się swoją klasztorną dostojnością; dzisiaj kapłan świecki, wynagrodzony za prace opactwem, częstokroć bywał już biskupem. Radoszewski przez lat kilkanaście obok biskupstwa trzymał opactwo, i dopiero łucką katedrę wzięwszy, musiał z niego ustąpić; mimo to pochowany był na Łysiej górze, bo pokochał miejsce w którym lat tyle przeżył tak spokojnie i szczęśliwie. Nierzadki odtąd przykład w opactwach, że z nich wychodzą ludzie do najświetniejszych godności w rzplitej. Piotr Gębicki, kanclerz kor. i biskup przemyski, następca Radoszewskiego, przeniósł się prosto z opactwa na książęcą stolicę krakowską.

Za bogobojnego i niepospolitej nauki opata Stanisława z Bogusławic Sierakowskiego, nawidzili poraz pierwszy Szwedzi klasztor świętokrzyski, ale nic nie znaleźli; trzech albowiem zakonników pochowało kościelnymi z woli starszych i za granicę uciekło. Paweł Wirtz pułkownik, opanowawszy klasztor, długo w nim mieszkał, i napróżno szukał bogactw; zakonnicy pozostali w klasztorze wiedzieli że są ukryte skarby, ale nie wiedzieli gdzie i wykryć nic nie mogli. Szwed myślał że to zmowa i upór, więc brał księży na męczarnie, ale nic z nich jednak nie wydłuził. Więc przez dziką zemstę zamordował kilku niewinnych i odstąpił od Łysiej góry.

Sierakowski umarł 30 maja 1662. Po nim nastąpił w opactwie Mikołaj Goski Prawdzic; prałat warszawski i lubelski, doktor prawa, filozofii i nauk wyzwolonych (umarł 7 paźdź. 1682) i Michał Hieronim Jaksa Komarnicki, który był kiedyś sławnym wojownikiem, posłem i deputatem. Był komissarzem wszech klasztorów benedyktyńskich, mianowanym na całą Polskę; starał się zaprowadzić kongregację tego zakonu w Polsce, ale śmierć nie pozwoliła mu tych zamiarów doprowadzić do skutku (umarł 4 września 1689).

Po śmierci dopięro Komarnickiego, nastąpiła reakcja. Było to za czasów Jana III. Zakonnicy wszędzie powstawali mocno za utrzymaniem praw swoich, a raczej za odzyskaniem dawnych, które już utracili, i chcieli sami wybierać opatów. Rzym naturalnie, troskliwy o swoje prawa, podtrzymywał ich w walce przeciw rządowi narodowemu. Był zwyczaj, że król podawał klasztorom opackim po czterech kandydatów i że pomiędzy nimi zakonnicy wybierali; była to jednakże forma tylko, bo kogo chciał żeby wybrano, tego kładł zaraz na pierwszym miejscu. Jan III przedstawił na ten wybór Aleksandra Wyhowskiego, kanonika płockiego, którego lubił; ale zakonnicy pominieli go i obrali Krystyna Mireckiego, który był profesorem nowicyatu na Łysiej górze. Wyhowski dostał ledwie jedną króskę; ale miał się za sobą i utrzymał się przeciw Mireckiemu, straszną z nim stoczywszy walkę. Rzecz dziwna, kroniki kościelne chwala tego Wyhowskiego, że kościół ozdobił z dochodów swoich, że mury klasztorne podniósł, że nowe mieszkania dla zakonników wybudował, a jednak był to sławny swojego czasu próżniak i liczykufel i nazwisko mu w dziejach mniej pochlebne „Sitio“ pozostało. Wyhowski ten mógłby być chlubą i sławą tutejszych opatów, mówią kroniki, a jednak nigdzie i nigdy się nie odznaczył potem. W bezkrólewiu po Janie III Mirecki wygryzł go zupełnie z opactwa i podniósł na nowo znaczenie Łysiej góry. Był to zakonnik gorliwy, miał wpływ wielki na swoich i wpływem sięgał aż do Rzymu, do którego aż siedm razy jeździł. Utworzył kongregację benedyktynów polskich, co się Komarnickiemu nie udało, i opuszczone klasztory zakonnikami z Łysiej góry zapełnił. Człowiek wielkich zasług, umarł 7 grudnia 1733 r.

Za Mireckiego drugi raz na Łysą górę zajrzeli Szwedzi. Jenerał Renschild r. 1704 w kilkaset koni przybył poszukiwać skarbu, jak przed kilkudziesięciu laty jego ziomkowie. Groził że klasztor i kościół zburzy, jeżeli zakonnicy skarbów nie wydadzą, a nawet więcej jak groził, bo z ziemią zrównał pierwotną kaplicę św. Krzyża. Ale tym razem jak i przeszłym, skarby pochowało kilku mnichów, którzy potem za granicę uciekli. Oprócz Szwedów, mieli na kościół chrapkę Sasi; najechali także za Mireckiego podczas konfederacji Tarnogrodzkiej Łysą górę i nic na niej nie znaleźli.

Po Mireckim już tylko dwóch było opatów, Teo-

dor Antoni Karski i Józef Jan Nepomucen Niegolewski herbu Grzymała. Ten ostatni objął na Łysiej górze rządy w r. 1773. Był z kolei 47 opatem. Przeżył Niegolewski najsmutniejsze chwile klasztoru; pożar 26 paźdź. 1777 r. spalił do szczytu klasztor i opactwo. Był tak nagły, że w trzy godziny zostały się na Łysiej górze ze wspaniałych gmachów same rumoska i popioły. Mury tylko sterczały podarte na szmaty, popękane i nagie. Zakonnicy ledwie unieśli życie i ocalono tylko Przenajświętszy Sakrament z drzewem Krzyża świętego i bibliotekę do 9000 tomów wynoszącą. Rozebrano szczątki, niedopalone, a Niegolewski nowy kościół wznosić zaczął w r. 1780. Trwała fabryka przez lat kilkadziesiąt i przeżyła nawet samą Rzpłtę; kościół nowy dopiero w r. 1806 został poświęcony, już pod rządem austriackim. Benedyktyni francuzcy, przyjęci wtedy gościnnie do klasztoru, spalili złą wolą bibliotekę, której nie rozumieli; w tej wandalskiej pracy odznaczył się szczególnie ksiądz Gerard Lefebvre de Lassus. W tej epoce rozwiązania obyczajów, znalazły się jeszcze inne nadużycia. Kilku braciszków dobrało się do skarbu, wykradli złoto i klejnoty i spokojnie za granicę uszli; resztę drogich sprzętów zabrał skarb austriacki, zapłaciwszy jednak za wszystko klasztorowi 14,000 złp. rocznie, co pokazuje jak wielkie były same szczątki skarbu. A gdy do tego klasztorowi zabrano dobra, upadek musiał nastąpić. Tak więc, w miejscu gdzie po stu zakonników niegdyś się mieściło, zamieszkało milczenie grobowe.

W r. 1824 było jeszcze benedyktynów na Łysiej górze pięciu, pod zarządem opata Niegolewskiego. Niegolewski umarł 1828 r. mając lat 84. Dziś podobno jeden ostatni z benedyktynów na Łysiej górze pozostał.

Dzieje klasztoru różni opisywali. Najdawniejszym dziełem w tym przedmiocie, dzisiaj bardzo rzadkiem jest: Historia o drzewie Krzyża świętego, na Łysą górę przywiezionem, spisana przez księdza Wojciecha Rufina w Krakowie w drukarni J. Siebenejchera, r. 1604 w 4ce. Dziełko to dedykowane opatowi Maliszewskiemu; przy końcu jest rzecz do czytelnika. Drugie wydanie wyszło u dziedziców Siebenejchera, w r. 1610, z dedykacją, ale bez rzeczy do czytelnika. Tutaj czytamy najobszerniej o legendzie, która św. Emerykowi przypisuje założenie kościoła. Dalej mamy o św. Krzyżu dziełko księdza Marcina Kwiatkiewicza, benedyktyna i proboszcza w Konieńkach z r. 1690. Jerzy Henryk Johnston, Anglik, benedyktyn, przełożony seminarium klasztorowego, wreszcie bibliotekarz i archiwista na Łysiej górze, spisywał żywoty opatów, których szereg kończy na r. 1704. Szacowna to bardzo praca. Po Johnstonie zajmował się jeszcze Łysą górą ks. Jacek Jabłoński, benedyktyn i proboszcz św. Michała w Słupi, i wydał dzieło w r. 1734. W naszym już wieku pracę Johnstona przepisał i w niektórych miejscach poprawił ks. Beda Wolski, benedyktyn także, w r. 1811. Kopij tego rękopisu jest kilka.

W Tinicy Szczygielskiej są także o klasztorze na Łysiej górze ciekawe wiadomości. Mówi się tam pomiędzy innymi, że po królu Bolesławie Chrobrym bogato nadał klasztor „comes“ Wisław, a po nim Krzesław z kurozwęk kasztelan lubelski, który żył w pierwszych latach panowania Kaźmirza Jagiellończyka. Miał klasztor innych także dobrodziejów. Pod jego władzą zaś były trzy probostwa: w Konieńkach, w Wąwolnicy i szpitalne w Słupi, tudzież plebania w Słupi. Wszystkie te miejsca leżały w dawniej diecezji krakowskiej, równie jak i sama Łysa góra.

Dzisiaj klasztor mieści się w diecezji sandomierskiej, w dekanacie i powiecie opatowskim. Niedaleko stąd, w tymże dekanacie, leży Cisów, wieś Paska. Kiedy wygaśli ostatni już benedyktyni łysogórscy, rząd gmachów klasztornych użył dla instytucji, która dotąd była w Augustowskim, w Liszkowie: zdrojnych księży przeniesiono na Łysą górę. Dzisiaj tedy, po pustce niedawnej, nieco się tam ożywiło, ale zawsze to smutny widok sprawiać musi podróżnikowi, gdy w krainie dawnych cudów i siedzibie bogatych opatów, napotyka tylko przykłady ułomności ludzkich. W kościele dawnym został administrator, a w klasztorze rozsiadł się instytut, w którym urzęduje rejent, ojciec duchowny, intendent i pisarz. Księży zdrojnych ostatnie wykazy jakie mamy, pod ręką, (z r. 1857), następną liczbę podają: z diecezji sandomierskiej i plockiej po 4ch, z krakowskiej i podla-

skiej po trzech, z kujawskiego dwóch, z warszawskiej jeden, zakonników czterech, razem 20. Rejensem był wtedy ksiądz Kasper Kotkowski, kanonik honorowy kaliski, proboszcz z Chmielowa.

O figurze kamienniej, w drzeworycie tu przedstawionej, istnieje podanie, że posuwa się powoli ku szczytowi Łysiej góry, a skoro dojdzie do wierzchołka, nastanie dzień sądu ostatecznego. Deotyma użyła tego podania w swojej *Tomirze*. Święty Emeryk król Lewicz zamienia tam w głaz Tomirę, za odstąpienie od wiary chrześcijańskiej.

Podróż jęj straszna, długa, choć tak niedaleka;  
Chciała iść, więc iść będzie, lecz gdzie iść nie chciała

Bo do wierzchołka tej góry,  
Gdzie chrzest ją czeka.

Ujrzą stulecia, — w pokorze ponuręj

Jak wciąż wstępując, ta żyjąca skała

Nie dojdzie szczytu, aż w ów dzień postrachu,

Gdy trąbą wstrząśnięte Bożą,

Na gruzach wszech-wieków gmachu,

Groby się z jękiem otworzą! ..

Julian Bartoszewicz.

## ZAMEK W UNIEJOWIE.

Była to pierwotnie, jak wszystkie nieomal miasta polskie, skromna osada, i należała do obszernych posiadłości arcybiskupów gnieźnieńskich. Lelewel, w opisie Polski za Piastów w XIIstym wieku, przytacza, że około Spicymira leżało wówczas 11 wsi, należących do tegoż arcybiskupstwa, a między nimi i Uniejowo v. Uniejów (\*).

Owa pierwotna osada, położona w dawnym województwie sieradzkim, o 6 i pół mili od Kalisza, dziś w gubernii warszawskiej, w powiecie kaliskim, nad rzeką Wartą, między rozległymi łąkami, prędko dorastała do znaczenia miasta, ku czemu jęj wielce pomagało, dogodne położenie i opieka arcybiskupów. W dawnych dyptomatach, pierwszą wzmiankę o Uniejowie znajdujemy pod rokiem 1291, kroniki zaś o nim wzmiankują w roku 1304; w tym bowiem czasie zmarł tutaj Jakób Świnka, arcyb. gnieźn. założyciel miejscowego kościoła, pod wezwaniem św. Ducha, o czém przekonywają akta kościoła tego z r. 1283.

Wśród toczących się po podziale Polski przez Krzywoustego bojów pomiędzy książętami wielkopolskimi, wspomniany jest w historii zamek obronny w Uniejowie, o istnieniu którego świadczy historia z r. 1331 opisująca wojnę z krzyżakami, chociaż w kilkanaście lat później, dopiero Uniejów wyniesiony został do rzędu miast. W wojnie powyżej wspomnianej Teodoryk z Altemburga, wielki mistrz krzyżaków, Otto de Luterberg wielki ich komandor, wraz z przyjacielem swym Wincentym z Szamotuł, cofając się z licznym wojskiem na Gniezno, zostawiali po całej Wielkopolsce łuny i dymy. Spustoszywszy wiele grodów i zamków obronnych, zniszczyli i Uniejów, zamku jednak nie potrafili zdobyć.

Przyszła wkrótce pomyślna chwila dla mieszkańców Uniejowa. Jarosław Bogorya Skotnicki, zostawszy w r. 1342 z kanonika gnieźn. arcybiskupem gnieźn. ze wszystkich, późniejszych nawet pasterzy, był najgorliwszym opiekunem zniszczonej przez krzyżaków osady. Za jego staraniem, w lat kilka po objęciu arcybiskupstwa, Uniejów, odbudowany na nowo, zaliczony został do rzędu miast, i dość długo nawet utrzymywał się w kwitującym stanie. Życie tego arcybiskupa pięknie odbija się na kartach dziejów. Za młodu szukał nauki we Włoszech, gdzie tak się odznaczył, że został rektorem akademii w Bononii. Po powrocie do kraju rodzinnego obrał sobie stan duchowny.

Wziętość Jarosława była wielka tak, że wkrótce po objęciu tej wysokiej godności kościelnej nietylko jako pośrednik ułatwił spór o dziesięciny między Kaźmirzem wielkim i biskupem krakowskim Bodzantą, ale królom czescy i węgierscy, jakoby od ojca swego, rady od niego zasięgali. Jarosław zmarł roku 1376 przeszło sto lat życia licząc. Na pięć lat przed śmiercią bawiąc w Zninie, przez siebie ufundowanym, grał w szachy z historykiem archidyakonem gnieźn., i miał wzrok dobry, a potem w kilka dni już nic nie widział. Lubił on bardzo budować; katedrę gnieźnieńską od fundamentów podniósł, chociaż jęj nie dokończył; w Łowiczu, Kurzelowie, Opatowie, Kaliszu, wystawił

kościół na cześć N. Panny, a w Łęczycy, Krakowie, Wieluniu, Kaliszu i Gnieźnie, piękne kurye i domy dla duchowieństwa budował; w łowickim bardzo wiele wsi pozakładał.

Zamek ten do dziś dnia istniejący, którego rysunek w załączonym drzeworycie przedstawiamy, wedle miejscowych podań miał być założony przez błogosławionego Bogumiła, arcybiskupa gnieźnieńskiego, zmarłego w r. 1182. Dotąd pokazują tu kaplicę w której nabożeństwo odprawiał i jego cele. Charakter jednak budowli zaprzecza temu podaniu; styl bowiem jęj wyraźnie wiek XIV wskazuje, bezwątpienia zatem wystawił ten sam Jarosław Skotnicki, który i miasto założył. A ponieważ niedługo Uniejów był miejscem rezydencji arcybiskupów, późniejsi zaś przenieśli się do Łowicza, przeto zarząd nad miastem i zamkiem oddawali swoim starostom. Jeden z takich starostów Stanisław Gomolina naprawił w r. 1534 zniszczone już wtedy mury zamku, przyczem nieco go powiększył. W następnych latach, a mianowicie w r. 1638, rozprzeździł go arcybiskup Wężyk, i niektóre wewnątrz dodał ozdoby. Wojny szwedzkie doprowadziły zamek Uniejowski do ruiny, pożar zniszczył dachy i kopułę wieżową. Po inkameracji dóbr arcybiskupich w roku 1796 rząd pruski wyrestaurował część murów, i na mieszkanie dla dzierżawców przeznaczył, reszta stała pustkami, aż do czasu przejścia dóbr Uniejowskich na własność donacyjną Generała Hrabiego Toll, t. jest do r. 1836.

Donataryusz przez zaciągnięcie nowych dachów, za bezpieczyszy od zniszczenia całość tej starożytniej budowli zrobił ją na nowo mieszkalną, i pięknym przyozdobił tarasem.

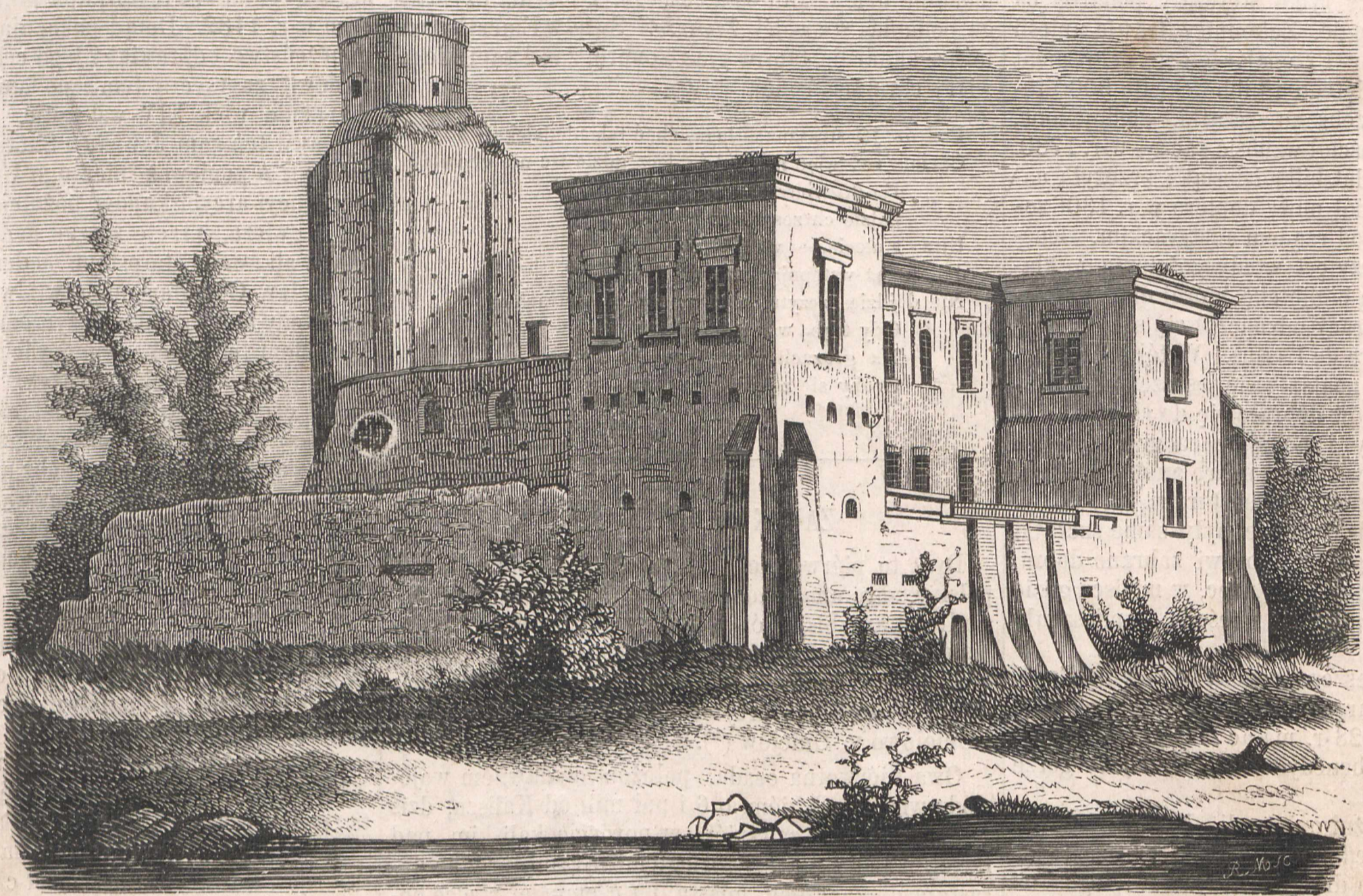
Najdawniejszą częścią zamku jest wieża w stylu XIV wieku wzniesiona; budowa jęj jest okrągła, wsparta trzema czworokątnymi szkarpmi, w których wnętrzu umieszczone były schody na różne jęj piętra prowadzące. Równiej dawności jest część mieszkalna zamku, dotykająca wieży. Tu mieści się owa kaplica błogosławionego Bogumiła, która teraz urządzona jest na mieszkanie dla służby. Z czasów starostwa Gomolińskiego pozostały wewnętrzne mury otaczające dziedziniec, dziś na stajnie zamienione, jako tém przekonanywa znajdująca się tu kamienna tablica, u góry mająca herb Jelita, a na niej następujący napis wypukłymi głoskami: *Stanislaw de Gomolin Morio Sira-diensis terrae generali protunc capitaneo existente ara restaurata. Anno Domini 1534.* Z zewnętrznej części zamku, która w tymże czasie była wzniesioną, dolna tylko część murów pozostała, górna zaś gdzie były urządzone strzelnice oddawna jest zwaloną. Do epoki arcybiskupa Wężyka odnosi się cała południowa i zachodnia strona zamku, gdzie teraz są główne mieszkalne pokoje. Mają one budowę prostą, styl nowo włoski, a nad bramą wielką mieści się marmurowa tablica z herbem Wąż i napisem łacińskim, którego dla zbytnej wysokości trudno odczytać, rok tylko 1638 i nazwisko Wężyka są wyraźne.

Wracając do przeszłości miasta Uniejowa, tu miały miejsce zebrania się kilku synodów. Pierwszy przypadł w r. 1376. Podówczas począł grozić Europie nowy nieprzyjaciel. Turcy niepokoiłi Jana Paleologa cesarza wschodniego, który udał się do Grzegorza XI papieża z prośbą o pomoc, za co obiecywał połączyć greków z kościołem rzymskim. Papież wysłał w tym celu i do Polski legata Mikołaja biskupa margorieńskiego, ażeby od duchowieństwa ściągnąć składki na najem wojska przeciw niewiernym. Legat przybywszy do Polski, odbył z tutejszym duchowieństwem synod prowincjonalny w Uniejowie, na którym byli Jan Suchy-Wilk arcyb. gnieźn., oraz biskupi: Zbylut władysławski, Dobiesław plocki, Andrzej cereteński, suffragan z Gniezna, a przysłali pełnomocników biskup krakowski i kapituła wrocławska. Oprócz nich na oznaczony termin 7 września 1376 r. zjechało się tu prawie całe wyższe duchowieństwo polskie. Przedmioty prócz składki, żądanej przez papieża, były zbyt ważne i obchodzące księży; szło bowiem o utrzymanie praw i przywilejów przeciw tym, co częstokroć grabież mieczem na dobrach duchownych i na biednym ludzie spełniali; szło o poprawę karności, o ścisłe szanowanie prowincjonalnych ustaw kościoła przeciw zaborom dóbr kościelnych; wreszcie o rozstrzygnięcie wielu sporów między duchownymi, względem których wyrzeczenie pozostawił arcybiskup temuż synodowi.

Za czasów króla Ludwika, rozboje, najazdy, łupieżstwa kmieci, ubogiej szlachty i duchowieństwa, wygó-

rowały więc jak kiedykolwiek; król i przedniejsi panowie, sprawę ogółu uważali jedynie za interes swój i swych dzieci. O nadużyciach jednak tych ostatnich ledwie w maleńkiej części król wiedział. Moźni na złe zatykali uszy i oczy; była to pora dla z bogacenia się ich, chwalili czasy i na sądy zjeżdżali z zbrojnemi ludźmi; robili niepokoje i nie dawali wymierzać sprawiedliwości. Wypadek jaki wtedy miał miejsce w Uniejowie, dokładnie odbija ówczesne obyczaje.

Było to r. 1381. Pietraś burgrabia łeczycki, zaprosił na jakieś układy i na obiad, do wsi król. Dąbie, księdzka Pełkę, proboszcza kurzelowskiego, który zarazem był prokuratorem i rządcą zamku arcybiskupiego w Uniejowie. Najprzód z tym zaproszonym gościem klócił się sam gospodarz domu o to, że gdzie miał nieprawnie polować, ale te klótnie uśmierzo. Kiedy domownicy ks. Pełki wyszli do koni, zaczęli go znów kasztelan łeczycki, nareszcie do był noża, (jaki wtedy każdy z sobą do stołu przynosił) i zadał mu cios śmiertelny, poczem zabrał się do odjazdu. Domownicy zabitego pomścili się jego śmierci, i zabójca legł trupem.



ZAMEK W UNIEJOWIE.

(Rysował Kostrzewski, rytował Müller w drzeworytni Tygodnika.)

Po ks. Pełce otworzył się spadek; przybył zaraz brat jego, sandomierzanin Bernard z Grabowa, zajął Uniejów, złupił skarby arcybiskupa, zabijał bydło, i robił wszystko jakby w swój własności. Dokażywał tak przez dwa tygodnie; zamiast go jednak prawem zmusić, Domarat gen. starosta wielkop. i kasztelanowie Pietrasz kujawski i Derszław gnieźn., na-

i Uniejów, chociaż on nie był dziedzictwem kardynała prymasa Radziejowskiego, głównego przeciwnika Augusta. Spalono wówczas miasto, zniszczono zamek, i zabrano skarby arcybiskupa. Konfederacja sandomierska wydała w r. 1704 postanowienie, żeby dobra kościelne odebrać prymasowi, a dochód z nich obrócić na utrzymanie wojska; prywatne zaś majątki kardynała Radziejowskiego skonfiskowano. W r. 1736 znowu pożar znaczną część miasta w perzynę obrócił.

Wypadki te niszczyły Uniejów, późniejsze również nieprzyjemne sprawy nie pozwoliły mu powstać i przyjść do dawniejszej pomysłowości. Odbudowywał się wprawdzie, ale mu trudno było podnieść się, bo i mieszkańcy zniechęceni, gdzieindziej szukali przytułku.

W r. 1816 raz jeszcze zniszczył go gwałtowny pożar. Najście Szwedów na Polskę za Jana Kaźmirza 1655 r. było pierwszą przyczyną zaczynającego się odtąd upadku Uniejowa. Wittemberg generał szwedzki, zajmując Koło, Łęczę, Konin i inne miasta Wielkopolski, pozostawił tam oddziały swych wojsk, ażeby przeszkadzać zbieraniu się pospolitego ruszenia z województw łeczyckiego i sieradzkiego. Wojska te ze szczeniem zniszczyły dość zamożnych mieszkańców, do czego przyczyniły się i ciągłe przechody i utarczki konfederatów uganiających się za nieprzyjacielem po Wielkopolsce. Za tym zniszczeniem pociągnęły i inne wypadki.

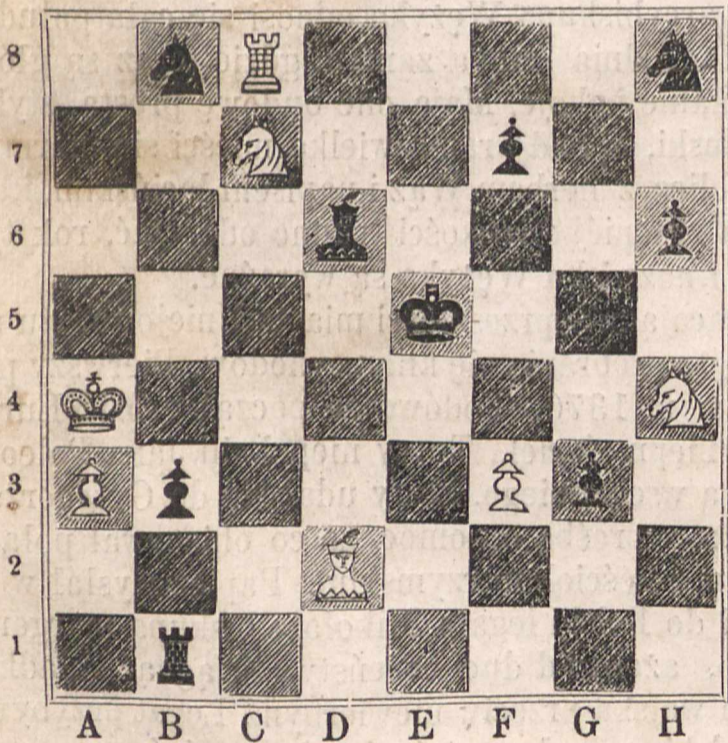
Kiedys liczył Uniejów pięć kościołów, obecnie posiada dwa, t. j. kolegiatę, o której mówiliśmy powyżej, i mały drewniany kościółek Bożego Ciała, wystawiony w 1739 r. na fundamentach starożytnej kaplicy przez ks. Grzegorza Bieniaszkiewicza, mansjonarza uniejowskiego. Z trzech dawniejszych kościołów były tu: kościół i klasztor ks. benedyktynów, założony przez Jarosława Skotnickiego, arcyb. około 1350 r., a spalony przez Szwedów 1656 r., po którym i śladu nie zostało. Drugim był kościół i szpital św. Ducha, założony r. 1283 przez Jakóba Świnę arcyb. gnieźn. zniesiony dopiero za prymasa Ostrowskiego, fundusze jednak i zapisy pozostały przy szpitalu, który dotrwał do początku bieżącego wieku. Trzecim była kaplica św. Wojciecha, niewiadomiej fundacji, zruinowana ze szczeniem, z rozkazu tegoż prymasa zupełnie zniesioną została. Obecnie miasto poduchowne Uniejów liczy ludności: Polaków 1962, Żydów 6, razem 1968 domów murowanych ma 3, drewnianych 309.

## SZACHY.

ZADANIE XVI.

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 15.

Białe.

- 1) E 5 — C 4
- 2) C 1 — A 3 †
- 3) A 3 — A 4 †
- 4) A 4 — A 5 bierze † i mat.

Czarne.

- 1) B 5 — B 6
- 2) B 4 — B 5
- 3) B 5 — A 6

Jeżeli czarne w pierwszym posunięciu zechcą zabić konika, to białe w drugim posunięciu dają:

C 2 — C 3 † . . . D 4 — C 3 bierze  
A 1 — C 2 † i mat.

Jeżeli czarne w drugim posunięciu zechcą pojechać królem B 4 — C 3, to dostają mata B 3 — B 4.

Jeżeliby czarne, dla zagrodzenia drogi królowej na A 3, w pierwszym posunięciu pojechały laufrem na B 2, wtedy:

C 2 — C 3 † . . . B 2 — C 3 bierze  
C 1 — A 3 † i mat.

mpową ledwie sprawili, że się zwrócił na drogę rozumu. Wszakże nie pierwój ustąpił z zamku, aż mu Jan Suchy-Wilk arcyb. przyrzekł, że poszukiwać na nim zabranych rzeczy nie będzie. Czyn ten Bernarda tém więcéj był godzien kary, że miał dla arcybiskupa obowiązki rodzinne wdzięczności. Arcybiskup dotrzymał obietnicy, i nie poszukiwał na nim zrabowanych skarbów.

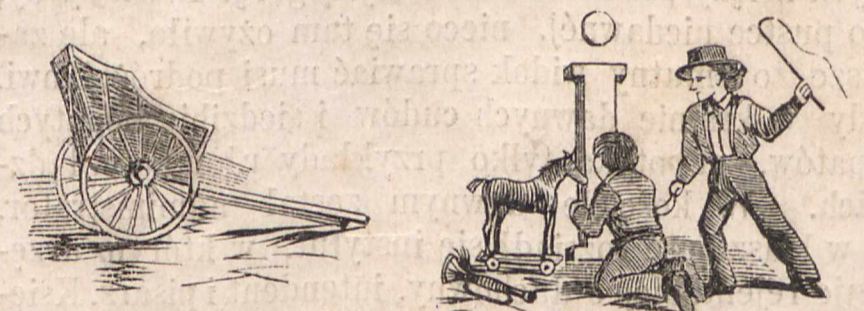
W XV wieku liczne włości należące do arcybiskupstwa otaczały Uniejów. Na okolicznych wzgórzach jego, krzewiły się obszerne winnice tak pomysłnie, że Wincenty Kot, arcyb. gnieźn. po cztery beczki wina corocznie przeznaczył z nich dla katedry gnieźnieńskiej. Rósł Uniejów w ludność i zamożność, do czego pomagało mu dość wygodne handlowe położenie. Miasto winne było niektóre ważne przywileje Janowi Łaskiemu, prymasowi. Za jego wstawieniem się, Zygmunt stary w r. 1511 uwolnił mieszczan od cła i targowego, potwierdzając dawniejszy przywilej, a w r. 1525 nadał im prawo saskie. Dochód zaś z czopowego w tém mieście przeznaczył król r. 1533 dla arcybiskupów gnieźn. Niemniej ważny jest przywilej Zygmunta Augusta z r. 1553 uwalniający mieszczan uniejowskich od podatku *szos* zwanego, składanego od domów lub zarobku.

Pożar wynikły 1632 r. obrócił w perzynę część Uniejowa, ale nierównie większą zadał mu klęskę w roku następnym, w którym prócz większej połowy miasta, spłonęła i kolegiata wystawiona przez Skotnickiego 1365 r. wraz z całym jej archiwum. Odbudował ją świetniejszą Maciej Żubieński, arcyb. gnieźn. w początkach XVII wieku. Główną jej pamiątkę stanowią dotąd szczątki błogosławionego Bogumiła arcyb. gnieźn., złożone w okazałym marmurowym grobowcu, wystawionym kosztem Wacława Leszczyńskiego prymasa, w r. 1666.

Oprócz synodu w r. 1376, odbyło się w Uniejowie jeszcze kilka synodów. Ostatni w r. 1643 zwołany przez Macieja Żubieńskiego prymasa.

Nieszczęśliwa dla Polski wojna Augusta II z królem szwedzkim Karolem XII ostateczny cios zadała Uniejowowi. Konfederacja wielkopolska 1704 r. związana, główne swe uchwały wydawała z obozu pod Uniejowem. Skoro jej wojska ztąd ustąpiły, Sasi i partyzanci Augusta, mszcząc się na stronnikach Karola, ziemie i posiadłości ich niszczyli. Tenże los spotkał

## REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 21.  
W pająka sieci mucha więźnie, błąd się przebijają, i między ludźmi tak samo się dzieje.

(Dodatek).

## Kronika zagraniczna.

Anglia jest ojczyzną praktyczności; umieją tam ze wszystkiego korzystać, wszystko na pożytek obrócić. Anglik nie zmarnuje kwadransa napróżno, piędzi ziemi nie pozwoli leżeć odłogiem. Praktyczność jest zapewne piękną rzeczą, a świst parowej maszyny, ciągnącej za sobą długi szereg wozów ludźmi i towarami przepelnionych, przynajmniej równie mile uderza nasze ucho, jak śpiew romantycznego kochańka róży, słowika, przecież to realne usposobienie, do którego się otwarcie przyznajemy, nie zaślepia nas do tyła, żebyśmy to, co rzeczywiście jest nagannem, chwalić mieli. Dlatego też nowy rys praktycznego charakteru jasnowłosych synów Albionu, który wam podamy, nietylko nas rozśmieszył, ale i oburzył, jak oburzy zapewne nasze polskie czytelniczki, dla których kościół jest świętym przybytkiem, a teatr, choć niekoniecznie miejscem zgorszenia, zawsze jednak miejscem wyłącznie rozrywki i zabawie poświęconem.

Wiadomo, a może i nie wiadomo, czytelnikom i pięknym (zawsze i koniecznie) czytelnikom naszym, że w Anglii wzbroniono w niedzielę dawać przedstawienia sceniczne; ztąd sale teatralne wolne są zupełnie od północy w sobotę, do poniedziałku rano. Angielska praktyczność podsunęła kaznodziejom nie mającym swojej parafii oryginalną myśl zgromadzania swych owieczek w teatrach, a niektórzy dyrektorowie nie gniewają się wcale, że w siódmy dzień tygodnia, kassa ich pustkami stać nie będzie.

Times z d. 16 z. m. opisuje szczegółowo tego rodzaju widowisko religijne, dane w niedzielę 15 t. m. w teatrze Wiktorya. „Dwa razy, pisze wspomniany dziennik, w ciągu dnia służba boża odprawioną została w teatralnej sali Wiktorya; pierwszy raz o trzeciej po południu, drugi raz o szóstej wieczór. To drugie nabożeństwo wymagało całkowitego oświetlenia. Łoże zajęte były przez widzów w białych rękawiczkach, ubranych przyzwoicie, jak gdyby znajdować się mieli na przedstawieniu teatralnem. Parter przepelniony był najrozmaitszego rodzaju publiką, która zdawała się nieprzywykłą do widzenia jakichkolwiek ceremonii religijnych, co powinno uspokoić duchownych, lękających się aby te nadetatowe nabożeństwa nie przynosiły krzywdy sąsiadnym kościołom. O trzeciej godzinie po południu, wielbny C. J. Goodhart (jeden z członków kościoła urzędowego) wszedł na scenę z towarzyszącymi mu duchownymi, z których jeden zaintonował hymn stosowny. Przeczytawszy jakiś rozdział pisma św. i zaimprovizowawszy modlitwę, wielbny Goodhart zbliżył się ku przodowi sceny, i kazał na tekst św. Pawła: „Jezus Chrystus przyszedł na ten świat dla zbawienia grzeszników, z których ja pierwszy jestem.“ Kazanie było proste, praktyczne (sic), i zastosowane do pojęcia zgromadzonych słuchaczy.“ Zajrzyjmy do innych teatrów londyńskich. Żeby nie zapuszczać się zbyt daleko, wspomniemy na teraz tylko teatr Drury-Lane, gdzie, jak we wszystkich innych prawie, batalion ochotników manewruje przy oklaskach paradyżu. Batalion ten, utworzony z figurantów, ma za uniform ubiór pokojówek angielskich, i stawia opór wyładowaniu batalionu kucharek francuzkich, który koniec końcem zmuszony zostaje cofnąć się ze stratą, pomimo że dzielnie włada naturalną swoją bronią, różnami i nożami kuchennymi.

Wspomniemy tu jeszcze małą okolicznościową farsę, ponieważ jest jednym więcej dowodem praktyczności Anglików, nie bez szemrania znoszących uciążliwy zwyczaj kolendowych i noworocznych podarunków. Teatr strand, p. t. *Christmas Boxes*, wyprowadza na scenę dwóch poczciwych mieszczan londyńskich, pp. Jackly i Holly, konspiracyjnych wspólnie w celu pozabawienia swoich szanownych połowic podarunków noworocznych, ofiarowanych im zwykle ze szkodliwej miłośności mężowski. Nie mogąc nic skromniejszego wymyślić, postanawiają znaleźć powód do kłótni; damy mają nieudaną antypatyą do pewnych instrumentów, panowie na tych instrumentach wykonywają muzykę. Damy znajdują koncert zachwycającym, a melomani zmęczeni się i znudzili, nie mogąc podobnych uczuć obudzić w swoich uprzejmych słuchaczkach. Nie dają przecież za wygraną, i wymyślają inny środek, zasadzając się na miłosnym oświadczeniu, któ-

re każdy robi żonie drugiego, pozwalając się schwytać na tej występnej rozmowie. Damy przyjmują ten szturm do ich cnoty przypuszczany z tak doskonałą kokieteryą, że brytańskie Don-Juany dają sobie wyłudzić podarunki, których zrobić nie chcieli. Otrzymawszy podarunki, damy zamieniają takowe, na swoje i publiczności uciechę.

Daliśmy niedawno życiorys Macaulaya, wymieniając jego historyczne prace, które niepożyty, na chwałę swoją i narodu, którego był synem, pomnik postawił, lecz czy domyślilibyśmy się, że poważny autor *Historji Angielskiej* w młodości swojej pisywał romanse i sztuki teatralne? Ponieważ ludzie starają się zwykle wydobyć na jaw wszystkie talenta i cnoty bliźnich dopiero po ich śmierci, przeto i biografowie Macaulaya wspominają, że miał on szczególny talent do epigramatów, agra wyrazów tryskała z równą łatwością z tych ust wymownych, jak wspaniałe przenośnie i cyceronskie parafrazy, ozdabiające jego rozmowę i jego pisma. Drobnie szczegóły z prywatnego życia takiego człowieka jak Macaulay, zarówno są interesującymi jak szczegóły z jego życia publicznego, a ponieważ skreśliliśmy już to ostatnie, kilka rysów z pierwszego zbytecznymi może nie będą.

Lord Macaulay w ostatnim czasie porzucił dawny swój apartament i zamieszkał na przedmieściu Kensington, które tem jest w Londynie, czem Passy w Paryżu. Zdrowie jego było mocno osłabionem, nie jednak nie zdawało się zapowiadać ażeby miał być niebezpiecznie chorym, i jego śmierć, spowodowana aneuryzmem serca, niespodziewanym była ciosem nawet dla jego siostry, która widziała go tego samego wieczoru (28 grudnia) na dwie godziny przed skonem. Rodzina lorda Macaulay przypomina sobie, że w d. 25 grud. cały dzień prawie milczał, co rzeczywiście było nadzwyczajnym symptomem. Pogrzeb jego odbył się dopiero w d. 9 lutego, a cała arystokracja urodzenia i talentu znajdowała się na nim. Odpiecztowanie testamentu lorda Macaulay w sądzie specjalnym, gdzie tego rodzaju akta składane bywają, wykryło cyfrę majątku nabytego tak zaszczytnie, w połowie w ciągu pięcioletniego pełnienia obowiązków publicznych w Kalkucie, w połowie piórem historyka. Majątek ten wynosi 80,000 fun. sterling. (3,400,000 złp.), a główną jego dziedziczką jest lady Trevglan, siostra lorda Macaulay. Co przecież publiczność najbardziej interesować może w tém dziedzictwie, to pozostałe rękopisma. Znajduje się pomiędzy niemi podobno kilkanaście rozdziałów zupełnie skończonych piątego tomu *Historji Angielskiej*, oraz materiały do uzupełnienia panowania Wilhelma III. Rękopisy te oczekują wydania.

Kilka biografij lorda Macaulay już się zjawilo. Pomiedzy licznymi dokumentami, zawierającymi ciekawe szczegóły do życia znakomitego historyka, wspomnieć należy niewydane listy miss Hannah More, świeżo w jednym z czasopism angielskich zamieszczone, dające nam poznać młodzieńczego Macaulaya w dwunastym roku życia. Miss Hannah More śledziła w niem z zajęciem postęp wczesnego rozwoju umysłowego, któremu nie zadała kłamstwa przyszłość.

Dzienniki francuzkie pełne są opisów balu jaki w dniu 16 b. m. dał w Paryżu w pompejańskim swoim pałacu książę Napoleon. Pałac ten, jak wiadomo, jest wierną kopią rzymskich budynków mieszkalnych według wzorów z ruin Pompei i Herkulanum odkopanych. Ten starożytny pałac zbudowany wczoraj, przetworzył się na ów wieczór w prawdziwie elizejski przybytek. Cesarz i cesarzowa zaszczycali swoją obecnością tę ucztę, na którą zaproszeni zostali znakomitsi dostojnicy cesarstwa i znaczna liczba ludzi politycznych wszystkich opinii, odznaczających się talentami.

Program rozdawany przy wejściu, zapowiadał z góry, że zebranie miało za cel *otwarcie teatru pompejańskiego, zamkniętego od tysiąca ośmiuset lat, z powodu reparaacyi.*

Rozpoczynający widowisko prolog Teofila Gauthier przedstawia żonę Dyomeda, która budzi się po śnie osmnasto wiekowym, w domu przepelnionym posągami bogów nieznanymi. Wkrótce przecież orientuje się, poznaje że jest nad brzegami Śródziemnego morza i że posągi przedstawiają Napoleonów, a nie Cesarów. Ze pierwszizdają jej się nierównie wyższymi od drugich, rozumie się samo z siebie. „Wszystko to (próbka stylu panegirycznego dzienników francuzkich) jest zachwycające i powiedziane prawdziwie staroży-

tnemi wierszami, przezroczytymi jak fale Tybru, harmonijnymi, jak powiew zefiru na lazurowych morzach.“

Tę parodyą świata starożytnego, w której damy krynolinami trącają o posągi Cesarów, a dym kadzi-deł zastępują pochlebstwa prassy, wielki świat paryzki przyjmuje jednak z zapalem, ciesząc się że Francuz smakiem i przepychem przewyższyć zdołał wymyślnych nawet Rzymian.

## SPRAWOZDANIE

### Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNALEZKÓW.

Nauka w naszych czasach postępuje szybko i bez hałasu, chociaż dzięki dobrze zrozumianemu interesowi ludzkości i samej nauki, jawność jest hasłem teraźniejszych uczonych, prawie bez wyjątku. Ktokolwiek odkryje coś ważnego, nie z chęci wstawienia się, ale dla podania swoim kolegom na całej ziemi sposobności sprawdzenia, roświecenia i dalszego doskonalenia tego odkrycia, a ogółowi możliwości korzystania z niego, ogłasza swoje postrzeżenia, doświadczenia i wnioski, a dzięki znacznej liczbie pism specjalnych w każdej gałęzi nauki, takie ogłoszenie rozchodzi się niezwłocznie po wszystkich zakątkach ziemi, a setne, tysiączne nieraz umysły i ręce, biorąc się do badania i wprowadzenia w użycie nowego odkrycia, łatwiej, prędzej i pewniej, przez samą różnorodność dróg w chodzeniu około niego, mogą mu dodać czego mu brak, udoskonalić i zużytecznieć pierwotny pomysł daleko łatwiej, prędzej i pewniej, niż gdyby sam tylko wynalazca pracował dalej nad swoim odkryciem. Tajenie takich wynalazków i ulepszeń, monopolizacya ich jest już teraz wyjątkowa, chociaż niekiedy usprawiedliwiona przez położenie wynalazcy, chęć lub potrzebę ciągnięcia materialnych korzyści ze swojego pomysłu, pracy lub szczęśliwego przypadku. W takich razach, jeżeli nowe odkrycie stanowi ważną korzyść dla ogółu, nie brak sposobów pogodzenia praw wynalazcy z prawami ludzkości, przez wynagrodzenie go z funduszy rządowych lub narodowych i odkupienie tym sposobem jego tajemnicy na użytek powszechny.

Ale jak powiedzieliśmy, rzadkie są podobne wypadki, a zwykle przyjętą w naszych czasach zasadą jest podawanie do wiadomości powszechniej wszelkich nowych odkryć, lub już w samych sobie użytecznych lub zapowiadających, że mogą być użytecznymi.

Dzięki tej zasadzie, spodziewamy się, że nigdy nam nie zabraknie materiału do naszych sprawozdań naukowych, chociaż za to często przeskakiwać w nich będziemy jednym rzutem od przemysłu do sztuki lekarskiej, od astronomii do rolnictwa i t. p. Na dziś najważniejszą nowością jest narzędzie wynalezione przez p. Foussagrives, naczelnego lekarza marynarki w Cherbourgu, którego celem i skutkiem jest oświetlenie wewnętrznych części naszego ciała.

Nie można tego żądać co do wszystkich części ciała, ale teraz już możemy za pomocą tego narzędzia rozpatrywać dokładnie górną część krtani, a mianowicie *larynx* (kanał prowadzący powietrze do płuc), dolną część *pharynx* (kanału przeprowadzającego pokarmy i napoje do żołądka), wnętrze ucha, nosa i t. p.; a p. Velpeau, który robił z tém narzędziem doświadczenia na posiedzeniu akademii nauk w Paryżu, wyraził się o niem, że to jest środek oświetlenia dna najgłębszych studni.

Organoskop, tak bowiem nazwał p. Foussagrives swoje nowo wynalezione narzędzie, składa się z wielkiego Y ze szkła dętego. W dwie gałęzie górne wprowadzają się bieguny platynowe stosu voltaicznego, a dolna mieści rurki włoskowate, urządzone według sposobu Guisselera z Bonn, od którego noszą nazwisko. W rurkach tych otrzymuje się czczość nad gazem kwasu węglowego, i mają one tę własność, że kiedy w nich krąży prąd elektryczny, stają się mocno świecącymi. Używając do tego maszyny elektro-galwanicznej indukcyjnej Ruhmkorfa, otrzymujemy silne białe światło, niesprawiające żadnego podwyższenia ciepła, a oświetlające najdokładniej miejsce, które chcemy rozpatrywać.

Tak więc elektryczność, co już tyle usług oddaje

ludzkości w naukach i przemyśle, nowy jeszcze cud zdziałała.

W tej chwili jest to dopiero idea w kolebce, nowa zasada tak mało rozwinięta, jak pierwsza próba fotografii przed 20 laty dokonana przez p. Niepce. Któż mógł przewidzieć, że grube odbicie cienia prostego, z trudem otrzymane na kawałku papieru pokrytym chlorkiem srebra, doprowadzi do dzisiejszej doskonałości fotografii? Któżby wówczas przepowiedział, że wkrótce, prawie z szybkością myśli robić będziemy nie tylko portrety żywych osób, krajobrazy, ale nawet kopie obrazów tworzących się w ognisku soczewki mikroskopowej? Stawiając pierwszy krok na nowej drodze naukowej, można odgadnąć dokąd dojdziemy, gdzie się zatrzymamy? Jesteśmy podobni do owego księcia w bajce, co postrzegłszy wniósł do jakiejś groty, kazał strzelcom towarzyszącym mu na łowach, żeby nań poczekał, i sam zapaścił się w ową grocie, przysięgając wkrótce powrócić. Ale znalazł tam tyle cudów różnego rodzaju, że nie tylko nie wrócił, ale przez pięć tysięcy lat przebiegał to miejsce czarodziejskie, zapominając spać, jeść, pić, starzeć się i umrzeć, bo wszedł przez otwór w skałę do ciemnej groty, a doszedł do czarownego raju przez drzwi dyamentowe.

Tak samo niepodobna przewidzieć do czego doprowadzić nas może wynalazek *organoskopu*. Na dziś tyle powiemy, że rurki składające ten aparat, a dające bardzo żywe białe światło, bez podniesienia temperatury, bez płomienia palącego, mogą być nieocenioną pomocą w badaniach medyko-chirurgicznych, gdzie potrzeba rozpoznawać stan normalny lub patologiczny niektórych dróg i kanałów czyli przewodów w organizmie ludzkim, przystępnych wzrokowi lekarza, o ile są dobrze oświetlone, czego żadnym z dotychczasowych sposobów dokazać się nie dało. Dalej aparat ten może być użyty do oświetlania rozmaitych części maszyneryj różnorodnych, do których świecy palącej wprowadzić nie można; na koniec w oświetlaniu kopalni zastosowanie tego aparatu przewyższyłoby nieskończone zalety lampy bezpieczeństwa Davy'ego.

Nie wdając się w przepowiednie co do dalszych użytków tego wynalazku, mamy jednak niepłoną nadzieję, że on nie zostanie bezowocnym.

W wieku naszym każdy krok na drodze nauki tyle znajduje poparcia i tak gorliwą obudza staranność w zastosowaniach użytecznych, że nigdy nie można o tym lub owym wynalazku powiedzieć, że już osiągnął zupełnie kres swego przeznaczenia. Zdawałoby się, że cudowna szybkość, z jaką dziś telegrafy elektro-magnetyczne roznoszą myśl ludzką po wszystkich zakątkach ziemi, przez morza i lądy, jest szczytem, po za którym ani nam marzyć o wyższych jeszcze użytkach tej potężnej siły. Niedosłuch na tym, iż ten płyn subtelny, którego ani ująć, ani zważyć, ani postrzedz w jego cielesnym kształcie nie możemy, że ta siła którą tylko w jej skutkach znamy, na skrzydłach tysiąckroć lotniejszych od najszybszego pierzastego latawca, przynosi w kilku chwilach od bieguna do bieguna wiadomości stanowiące nieraz o losie rodzin, a nawet narodów? Trzebaż większych jeszcze żądać usług od tej potęgi ujarzmionej w służbę człowieka przez jego geniusz i wolę? Czemu nie? natura nasza nie cierpi spoczynku; iść naprzód i nigdy nie być zadowolonym z osiągniętych już rezultatów, to nasze powołanie, to hasło istoty, której najpiękniejszym przeznaczeniem jest dążyć do coraz wyższej doskonałości. Telegraf elektryczny powołany został świeżo do nowych, ważniejszych niż wszystkie dotychczasowe usług. Zamierzono użyć go do zapobieżenia strasznym katastrofom, które corocznie opłacane są życiem wielu tysięcy żeglarzy, rybaków i podróżnych, powierzających swój byt najmiastalszemu żywiołowi, bo falom oceanu.

Przed kilką tygodniami stowarzyszenie angielskie do popierania postępu nauk, wezwało biura handlowe, aby się zajęły zbadaniem możliwości obserwowania siły i kierunków uraganów i zarządzenia środków przesyłania, w razie niebezpieczeństwa, ostrzeżeń rozmaitym portom. W dniu 1 b. m. na zgromadzeniu tego towarzystwa, pod przewodnictwem księcia Alberta, przypomniano ważny fakt zaszły przed kilką laty, kiedy niezmierna liczba statków rozbiła się przy brzegach Szkocji, w skutku burzy, która na kilka godzin piérwój wybuchła na kanale Manche, i względem której można było ostrzedz wcześniej całe

nadbrzeże połączonych królestw. W skutku tego przedstawienia zdecydowano, że o każdej burzy powstałej w jakiejkolwiek okolicy Wielkiej Brytanii, telegraf udzielać będzie natychmiast stosowne wiadomości wszystkim portom. Przy dzisiejszym postępie meteorologii, przy ważnych odkryciach p. Coulvier-Gravier w przedmiocie wskazówek, jakie w wyższych warstwach atmosfery zbierać możemy co do prądów wiatru, mających po jakimś czasie zstąpić w warstwy przyziemne, ostrzeżenia telegraficzne tego rodzaju mogą być nieocenionym dobrodziejstwem dla ludzkości, stokroć wyższym niż łatwość przysłania z Paryża do Londynu, albo Berlina kursów giełdowych. Projekt tych ostrzeżeń telegraficznych już i we Francji roztrząsany jest w ministerstwach oświecenia publicznego i marynarki.

Zakończymy na dziś ostrzeżeniem naszych czytelników względem pewnych niebezpieczeństw w zastosowaniu hypnotyzmu, o którym mowiliśmy obszernie w poprzednim sprawozdaniu. W operacjach lekarskich wprawdzie ten sposób odejmowania czucia nie przedstawia tych niebezpieczeństw co chloroform i eter siarkowy, które niestety, nawet w rękach biegłych lekarzy nieraz już sprowadzały śmierć zupełnie nieprzewidzianą; ale za to uspienie za pomocą hypnotyzmu inne przedstawia niebezpieczeństwa. Przyczytamy tu słowa sprawozdania doktora Giraud Teulon o jednym z takich doświadczeń:

„Pewna dama, mówi ten poważny lekarz, uspiąca przez wpatrywanie się w świetny przedmiot, na zapytanie dotyczące się słabości, dla której ją w ten stan wprowadziliśmy, odpowiadała zwierzeniami, niemającymi żadnego związku ze sztuką lekarską, a tak ważnymi, tak niebezpiecznymi dla niej saméj, że zarówno strwożeni o pacjentkę jak i lekając się odpowiedzialności, której brać na siebie nie mieliśmy wcale ochoty, pospieszyliśmy obudzić ją w pośród nader ciekawych opowiadań.“

Hypnotyzm przedstawia ten szczególny fenomen, że bez wiedzy i woli pacjenta wspomnienia, uczucia i namiętności odzywają się w jego mowie, nawet bez zapytań, a przy zadawaniu ich zapewne wyrażałyby się jeszcze szczerzej i bez żadnej ogródki.

Inny fakt, przytoczony przez tegoż samego doktora, jest również ostrzeżeniem względem używania tego nowego sposobu usypiania. W pewnym domu w nieobecności lekarza, jakaś dama bardzo wrażliwa, która poprzednio znajdowała się przy doświadczeniach z hypnotyzmem, w jednym ze szpitali paryskich, chciała na sobie spróbować tego sposobu. Mąż tylko i syn tej damy byli obecnymi. Uspienie nastąpiło po kilku minutach; ale zapomniano spytać się, jakim sposobem należy sen przerwać w właściwej chwili. Pacjentka przez pół godziny zostawała w bezwładności; rodzina była w rozpacz, aż nareszcie ocuciły ją pieszczoty płaczącego syna. Przez cały czas uspienia widziała ona przestraszoną i rozpaczliwą twarz męża i syna, ich daremne zabiegi żeby ją ocucić i nie mogła dać żadnego znaku, któryby ich uspokoił. Osoba ta przez kilka dni po tej ciężkiej próbie czuła wielkie osłabienie nerwowe.

## AMBICJA.

HUMORESKA

Władysława Maleszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Tak mówisz, a na mnie drży skóra, zdaje mi się, że nie tylko Chapkiewicz, ale cały świat już wie o tym; brało się, rwało tu i owdzie, jak Bóg dał, ale na tak gruby interes nigdy się nie puszczałem... Lecz cóż robić? zkąd brać na wasze stroje, na wasze bale i koncerty? O artysto, bodajże ty się nie rodził!

Wyrzekając tak biedny ojciec rodziny porwał się za głowę i wszystkie włosy rozczochnął, a gdy dzieciaki obkoczyły go, wrzeszcząc o kawałek chleba, zawołał szwaczkę i poprosił, aby dla niego i dla dzieci pokrajała chleb pytlowy i posmarowała gęsim smalcem. W jednej chwili dzieciaki, mając już co zjadać, rozweseliły się, śpiewały, gwizdały; ale pan Cypryan, zawsze smutny, z ogromnym kawałkiem chleba w ręku, usiadł na zielonym kuferku, zwołał do siebie dzieci, a gdy te zjadając obsiadły go dokoła na ziemi, westchnął i zapytał:

— A co, smakuje?

— Smakuje, tylko szmalcu mało!

— Panno, nie ma tam jeszcze co w garnuszku?

— Już wszystko wyskrobałam proszę pana, odpowiedziała szwaczka, a pan Cypryan, nożem zgraniając szmalec z własnego kawałka, oddawał go swym dzieciakom, mówiąc:

— Biedne pisklaki, co z wami będzie, jeśli pan Bóg nie zmiecie z tego świata tych wszystkich artystów, komedyantów, próżniaków, którzy tylko się włóczą z kąta w kąt i obdzierają biednych ludzi? ... Przyjdzie wam bez koszuli i głodno opuścić dom ojca.

Ostatnie słowa powiedział drżącym głosem i o mało się nie rozplakał. Pani Drapalska, zapobiegając dramatycznym scenom i dbając o humor męża, z którego chciała jeszcze coś skorzystać, z wesołą miną wzięła morową suknię Oksylii, roztrząsała ją w powietrzu i zalotnie sprezentowała małżonkowi; lecz gdy i to na humor jego nic nie wpłynęło, gdy tylko na suknię spojrział, kiwnął głową i ani jednym słowem nie pochwalił, przemyślna żona poprosiła go aby wstał z kuferka, wytarł dobrze zatłuszczone ręce i pozwolił na sobie przymierzyć suknię, bo nie jest pewną czy spódnica będzie dość rozdętą. Pan Cypryan nie chciał się na to zgodzić, odsyłał żonę do szwaczki, lecz usilnie nalegany, aby robiąc tę małą przysługę, dziewczyn nie odrywał od nawału roboty, wstał, umył ręce, wytarł usta i przykucnąwszy do ziemi, pozwolił wdziać na siebie suknię, którą żona ułożyła w najpowabniejsze fałdy. Pan Cypryan z surową fizygnomią stał prosto jak kolek, bojąc się nawet oddychać, a nie chcąc gniesić stanika, podchodzącego mu pod brodę, trzymał ręce wyciągnięte do góry. Pani Drapalska obeszła męża dokoła, tu i owdzie zaszeleściła atłasem, a biorąc go pod brodę, z przymileniem rzekła:

— Jakże to ślicznie naszej Oksi będzie w tej sukni, kiedy ty stary pocziwski wyglądasz w niej jak anioł.

— Z długimi uszami, domruknął niepocieszony małżonek.

— Aj! ty niewierny Tomasz, jeszcze ci włożę kapelusik Oksi, który sama przywiozłam z Warszawy, a potem przejrysz się w lustrze i zobaczymy czy się w sobie nie zakochasz.

I pani Cypryanowa ładny, słomiany, z fioletowemi wstążkami kapelusik wsadziła na rozczochraną głowę męża, i obróciwszy go do lustra, kazała się przeglądać.

Pan Cypryan popatrzył, uśmiechnął się i wypierając się swój szkaradoty, rzekł:

— Nieźle, wcale nieźle.

Dzieciaki, ujrawszy ojca tak przestrojonego, hurmem rzuciły się ku niemu i wołając: tata! tata! palcami go sobie pokazywały. Wtenczas właśnie weszła panna Oksyilia, a widząc ojca w swojej sukni, wyciągnęła do niego ręce, deklamując:

— Papo, jakże piękny obraz twój!

— A cóż fotel? żywo zapytała matka.

— Fotel do mnie należy.

— Zdobyłaś?

— Musiałam. Kassyer odmówił, poszłam do samego artysty. Mamo, cóż to za człowiek, jaki śliczny, jak pięknie mówi, a jaki grzeczny! ... może nieco i zagrzeczny nawet, domówiła panna Oksyilia, spuszczaając oczki ku ziemi.

— Jakto... czyżby...

— Przy pożegnaniu dwa razy ścisnął mi rękę, ale to ściśnięcie było tak wyraźne...

— O mój aniołku, on ciebie ocenił, dusza jego od razu odgadła w tobie coś wyższego, mówiła matka ściskając córeczkę.

— Sam kazał kassyerowi, aby nie zważając na wydane numera, fotel z koroną mnie był oddany. Kassyer musiał usłuchać, i ja a nie oni mam Nr. 5.

— O szczęśliwa chwilo!

— A cóż oni zrobią? przecież wy wszystkie na jednym krześle nie usiądziecie? pytał tatunio, nie myśląc rozebrać się z niewieściego stroju.

— Ich zawiadomi zapewne, odeszle pieniądze, albo da tylne numera. O jestem pewną, że on nie pozwoli mnie skrzywdzić.

— No, no, toście prędko jakoś w sobie zagustowali... mówił stary z miłym uśmiechem.

— Papeczku, przemówiła Oksyilia tonem błagalnym, jeśli chcesz szczęścia swojej córki, pozwól, niech i to ozdobi jej głowę. I panna, wyjąwszy z pod bur-

na bogatą girlandę, przeplatana perłkami, wzniosła ją w górę i ukłękła przed ojcem.

— Jeszcze co nowego! zawołał pan Cypryan przestraszony, i aż ręce opuścił ku ziemi.

— Nie gniew się! krzyknęła matka.

— Papeczko, zlituj się! błagała córka.

— Czyście wy zwaryowały, — kobiety!

— Tyś zwaryował, mój Cyprysiu. Zrobiwszy tyle wydatków, oszczędzać kilka złotych i szpecić całe ubranie! Nie, to trzeba być bez najmniejszego gustu!

— A ileż to kosztuje? zapytał, z bojaźni mrużąc oczyma.

— Tylko 180 złotych.

— Jezus Maryja! krzyknął przerażony i galopem sunął się do drugiego pokoju; lecz matka przytrzymała go za rękę, a myśl że suknię mógł zgnieść lub rozedrzeć we drzwiach, ogniem ją oblała.

— Papeczku, dwie tylko takie girlandy były w całym mieście, w jedną hrabina, w drugą jabym się ubrała; a to tak stosowne dla tej, która wierszem będzie witać naszego mistrza.

— Mężu, pamiętaj, że losy czasem dziwnie łączą ludzi, trzeba ze szczęścia korzystać. Artysta bogaty, kawaler.. miałbyś sobie całe życie do wyrzucenia.

— To myślicie żeby się on z nią ożenił?...

— Papeczku, ja w małżeństwie widzę przesądzenie.

— Wszak on wiecznie kawalerem nie będzie. Cypryanu, rzuciłbyś swój urząd, prowadzilibyśmy życie wygodne, bo on ma pieniądze.

— Mój Boże, ma pieniądze... zapłaciłby i za blachę, powiedział p. Cypryan, wzniosł oczy do góry, i wtył odrzuciwszy wstążkę od kapelusza, którego nie zdjął mu z głowy, bo pani Drapalska instynktownie czuła, że w tym kostiumie musi uleść jej woli, zamyslił się o błogiej przyszłości. Nadzieja mu błysła: artysta zapłaci za blachę i wróci mu sen spokojny; powoli rozjaśnił czoło, ściągnął usta do uśmiechu, a gdy matka zakomenderowała dzieciakami, aby ojca za siostrą prosiły, i gdy te krzyknęły: „daj! daj! kup!” tatkno już się uśmiechał i rzekł:

— Bodaj was! — dajcie no tabaki.

Żona poskoczyła i podała mu tabakierę, a on wziął z niej potężną szczyptę, i wpatrywał się w kłęzącą ciagle Oksylią; a że dziewczę było dość ładne, okrągłe, rumiane, z jasnemi loczkami na główce, ojciec musiał wreszcie uwierzyć, że artysta nią się zachwycał. Na twarzy też zaigrało mu szczęście, zmrużył jedno oko i niosąc do nosa szczyptę tabaki, zapytał:

— Pewną jesteś że go ułowisz?

— Ułowie, papeczku, powiedziała córka i powstała z kolan, bo już nie wątpiła o zwycięstwie.

— Niech się dzieje wola Boża, weź z kantorka ostatnie pieniądze, kup sobie ten wieniec, ale pamiętaj, żebyś go złowiła.

Ogólna radość wybuchła, matka uściskała męża, córka podskoczyła, dzieciaki wrzeszczały, a gdy zabrano się do zdjęcia sukni i kapelusza z poczciwego artysty, ten już tak był szczęśliwy i uspokojony przyszłością, że przejrzał się w lustrze, ujął pod boki i prosił, aby tak wyelegantowanym pozwolili mu chodzić do wieczora, na co oczywiście matka i córka, zrobiwszy już swoje, nie mogły się zgodzić.

Panna Oksylija pobiegła do saloniku, otworzyła kantorek ojca i wzięwszy z niego ostatnie 180 złotych, które były całomiesięczną pensją, poskoczyła do lustra, włożyła na głowę girlandę i stanęła w oknie, rzucając na przeciwną stronę rynku wzrok dumny i zwycięzki.

Naprzeciwko mieszkania państwa Drapalskich wznosiła się kamienica, w której na górze mieszkali państwo Wysokonoscy, a na dole państwo Chapkiewiczowie. W tej właśnie chwili i panna Abissynia przystąpiła do otwartego okna, wychyliła głowę na rynek, i lekceważąco spoglądając po wszystkich kamienicach, wzrok długi, przeszywający, zatrzymała na murach hotelu. Po długiej chwili cofnęła się w głąb pokoju, po którym ojciec jej, z dumnie wzniesioną głową, chodził od drzwi do pieca.

Niedaleko progu stał Żyd, kupiec siwobrody; pod pachą trzymał sztuczkę jasnej materyi, a na brzegu fortepianu leżały bogate, koralowe, w złoto oprawne kolie. Pan Chapkiewicz skrzywił twarz fatalnie, stanął przed Żydem, i tupnąwszy nogą, ostro zawołał:

— Dasz, czy nie dasz, to dla mnie wszystko jedno; namyśl się i odpowiedź stanowczo, a pamiętaj że mo-

— Dasz czy nie dasz, to dla mnie wszystko jedno;

— Judelku, zapominasz coś wycierpiał i narażasz się na nową nieprzyjaźń ze strony mojego ojca, powiedziała panna Abissynia, łakomie spoglądając na kolie, i usiadła do fortepianu, po którym z wielką wprawą jedną gammę przebiegła.

Żyd na to wszystko się uklonił, poprawił jarmużki, pociągnął pejsa i odpowiedział:

— Dalibóg, na kredyt już dać nie mogę. Dwa tysięcy mnie zarwał jasnie pan dziedzic z Psiarka, dzierżawca z Kotka i procentów nie chce płacić, trzy razy kontrabandę strażniki przyłapili; za co ja biedny Żydek będę żyć?

— Judelku, jednak się narażasz, kupiec tak szanowany, tak bogaty, może być skompromitowanym. Oto Judelek nosi brodę i pejsy, a tego wszystkiego nie wolno, mój ojciec jednak toleruje, bo pana kupca lubi i poważa.

Perswadowała panna Abissynia, ale Żyd, chociaż zdrzał na wspomnienie pejsów i brody, niezmieknął się jednak, lubo znał passyą pana Chapkiewicza, lubo z jego powodu pozawczoraj siedział w kozie i o mało co czego nie oberwał, wołał jednak wszystko znieść, jak dawać na ryzyko temu, który ma tyle długów, ile włosów na głowie do połowy łysiej, o którym zresztą wiedział, że naczelnikiem nigdy nie zostanie i za dwa najdalej miesiące z tronu zstąpi na najniższy podnózek.

— Nie chcesz, to ruszaj won! krzyknął pan Chapkiewicz, rzeczywiście z natury passyonał niepohamowany, i Żyd już sięgał po kolie, gdy pani Chapkiewiczowa, przysłuchując się całej rozmowie z drugiego pokoju, wybiegła co żywo, i rozczapiérzając ręce, zawołała:

— Co wy znowu za historie wyrabiacie!... A czy to tak z panem kupcem się wychodzi? Rzecz wiadoma że potrzebujemy jego łaski, prosić więc a nie rozkazywać. Judelek nadto jest ambitny, aby miał ulegać waszym groźbom.

Żyd skłonił się niziutko, podziękował za łaskawe słowo i chciał wychodzić; ale pani sekretarzowa odebrała mu materyą i kolie, złożyła wszystko na fortepianie, a wzięwszy ręce Judelka i męża, prosiła żeby się pogodzili. Podali więc sobie ręce, Żyd pocałował w ramię pana sekretarza, a pan sekretarz łaskawszym okiem spojrzął na bogatego kupca. Potem Judelka usadowili na adamszkowej kanapie, wniesiono różowy likier i pierniki, pani Chapkiewiczowa naląła trzy kieliszeczki, i wszyscy się tręcili, pijąc: kochajmy się!

Takie przyjęcie Żydka polectało, ambicya w nim działać zaczęła, poprawił pasa, zacięrał ręce, a po trzecim kieliszeczku przeprosił za swoją niegrzeczność i oświadczył, że jeśli mu połowę z góry zapłacą, drugą połowę odda na kredyt. Lecz i ta połowa była niepodobną do uiszczenia. Pani Chapkiewiczowa pogłodziła Judelka po brodzie, wyprowadziła swoje dziatki aby je sprezentować kupcowi, a mąż odezwał się, że i kupca dzieciaki są prześliczne stworzenia, i mają coś szlachetnego w całej postawie. Żyd rósł widocznie, a gdy panna Abissynia zagrała kontredansa i dziatki ślicznie go przed Judelkiem przetańczyły, gdy pan Chapkiewicz, widząc jak to wszystko doskonale oddziaływa na ambitnym Żydzie, powstał z kanapy i spytał Judelka, czyby potrafił coś podobnego zatańczyć, Żyd uszczęśliwiony wstał, uniósł hałas i kłaniając się pannie Abissynii, kilka kroków kontredansowych zrobił do pana sekretarza.

— Jak ślicznie! Patrzenie, staruszek siwy, a jaka jeszcze żywa dusza; co to jest spokojne sumienie.

Wszyscy się dziwowali i chwalili, a Żydek wziął kolie do ręki i oddając je pannie Abissynii, zapytał:

— Dajesz mi panienka słowo honoru, że zapłacisz za miesiąc?

— O to najmniejsza, słowo honoru masz od nas wszystkich, słowo honoru i kwitek, zawołały matka z córką i sciskały dłoń Żyda, wydzierając z niej upragnioną ozdobę.

— Mój Boże, co to szlachetności w tym narodzie... mówił pan sekretarz, ale nagle, poskoczył do okna, wyrzwał na rynek i krzyknął:

— Idzie! prosto do nas.

W oka mgnieniu pani Chapkiewiczowa, porwawszy Żyda za kark, rzuciła przestraszonego do drugiego pokoju, dzieciaki poszły za Żydem, sztuczkę materyi i kolie ukryła na serwantce, a panna Abissynia z gracyą usiadła przy fortepianie na taboreciku, rozpostarła szeroko suknię i gdy ojciec stłumionym głosem

zawołał: Graj! uderzyła w klawisze i zagrała coś strasznego.

Pan Chapkiewicz usiadł w oknie i kiwając do taktu głową i rękami, przyczynił się w ten sposób do zwrócenia uwagi artysty, który właśnie przechodził koło ich domu. I rzeczywiście zamiar im się powiódł, bo artysta spojrzął na kiwającego się ojca, usłyszał silne tony, lecz na to wszystko uśmiechnął się tylko i poszedł dalej.

— A co? zapytała panna, gdy ojciec przestał się kiwać.

— Poszedł w ulicę.

— Do kogo?

Chciwym wzrokiem wszyscy ścigali artystę, wpadali na różne domysły; lecz gdy ujrzeli jak ten, poinformowany się u jednego z przechodniów, prosto szedł do dworku pani kapitanowej i po chwili zginął za furtką, spojrzeli na siebie zdziwionym wzrokiem, ojciec aż palec wsadził w usta, a panna Abissynia z żalem wymówiła:

— Czyby go zając miała ta uboga dziewczyna?

— A co chcesz, odpowiedziała matka, taka dziewczyna pierwsza mu się gotowa zaprezentować, oni nie mają nic do stracenia.

— Czyby on się znał z tym golcem bez butów, bez porządnego fraka, przemówił ojciec zdziwiony, a córka jeszcze się pocieszała:

— Nie, onby sobie tak nie ubliżył, żeby miał chodzić do jakiejś chałupy; to pomyłka, on do nas się wróci. I wszyscy troje w milczeniu jeszcze raz wychylili się na ulicę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Młodemu artyście nieużyteczna przestroga.

Ach! strzeż się! ach! strzeż się, —ta czarnoksiężnica,  
Co pieśnią rozmarza, co w dźwięki zachwyca,  
Już leci tu blisko, już gwiazdy przesłania,  
Już serce wydzięra, już duszę pochłania.

Ach! prędko, ach! prędko, relikwia do ręki!  
Bo pieśni cię strują, bo porwą cię dźwięki,  
Bo w wieczność daleką polecisz za niemi  
Bez ojca na niebie—bez braci na ziemi.

Ach! spiesz się, ach! spiesz się—relikwia odczyni  
Zły urok senliwych widziadeł władczyni.  
Weź tylko, weź świętą, weź bardziej ci drogą,  
Niż głosy jej zaklęć drogiemi być mogą,

I przyłóż — oh! przytul do piersi artysty  
Dłoń szczerą przyjaźni—proch ziemi ojczystej,  
Ukochaj coś wyższem nad sztukę kochaniem,  
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

Ja wołam, ja wołam—artysta nie słucha,  
Ta czarnoksiężnica spętała mu ducha,  
I wzięła na skrzydła szerokie, tęczowe,  
I makiem snów wiecznych zwiędziła mu głowę.

Już usnął—już wzleciał—już ku nam jedynie  
Głos czarnoksiężnicy—nie jego głos płynie;  
Toż cuda się dzieją, oh! cuda wśród ludzi,  
Ten głos go usennił—a nas tu on budzi.

Ten głos go rozteścił—a nas tu pociesza,  
Ten głos go zabija—a nas tu on wskrzesza—  
Więc dalej—więc dalej—w muzykę zaklętą  
Leć duchu! tyś grzeszny sam sobie—nam święty.

Gabryela.



Bezimiennego obrońcę posta upickiego, popierającego uczony swój wywód głęboką erudycją historyczną, jaka z czasów jeszcze gimnazjalnych żywo tkwi nam w pamięci, zostawiamy przy błogim jego przekonaniu, z którym jest mu zapewne i wygodnie i ciepło. Zresztą w sprawie tej przed trybunałem narodu zapadł już od wieków wyrok nieodwołalny. Na inne kwestye w liście jego poruszone, jako tyżące się osób żyjących, oraz na mniéj przyzwoite sarkazmy zwrócone do nas samych, odpowiadać nie uważamy za właściwe.

# DONIESIENIA.

Nakładem składu nut Muzycznych  
**Gustawa Sennewalda**

przy ulicy Miodowej Nr. 2 (481),  
wyszedł w Lipsku śpiew religijny z towarzy-  
szaniem fortepianu p. t :

## MODLITWA

DO NAJSWIĘTSZEJ MARYI PANNY  
OSTROBRAMSKIEJ

ofiarowana panu Józefowi Śniadeckiemu,

przez  
Józefa Wieniawskiego.  
CENA Kop. 30,

tudzież:

## KONTREDANSE BEZ TYTUŁU

grywane na maskaradach i w teatrze rozmaito-  
ści, ofiarowane W. P. Kamilli Meunier,  
p. F. Szczepanowskiego.  
CENA Kop. 30.

Egzemplarzy nabyć można we wszystkich  
składach nut w Warszawie, jak również u Arz-  
ta w Lublinie, L. Możdżelskiego w Kielcach  
H. Hurtig w Kaliszu i innych składach muzy-  
cznych na prowincyi.

Wydawca **KALENDARZA POPULARNO-  
NAUKOWEGO** zawiadamia osoby chcące na-  
być tenże kalendarz i szukające go w zwy-  
kłych składach Warszawskich, że dla małej  
już ilości egzemplarzy mogą znaleźć takowy  
tylko w Drukarni J. Ungra przy ulicy Krakow-  
skiej-Przedmieście w domu PP. Wizytek,  
Nr. 391.

Z Drukarni i nakładem wydawcy Tygodnika  
Ilustrowanego wyszły:

## NAUKI PARAFIALNE DOGMATYCZNE DLA LUDU WIEJSKIEGO

przez

### X. Waleryana Serwatowskiego

professora teologii napisane. Dzieło to dla u-  
żytku XX. proboszczów i plebanów przezna-  
czone od autora, wydawca odbił drukiem czy-  
stym i czytelnym i tak ułożył, aby w miarę  
potrzeby uczenia się na pamięć lub studyowa-  
nia, każda z nauk mogła być oddzielną od in-  
nych, to jest od poprzedzającej i następującej  
po niej nauki. Sprzedaje się u Wydawcy, oraz  
w księgarniach Warszawskich i na prowincyi  
po rs. 1 kop. 50.

Nakładem i drukiem Józefa Ungra wyszły:  
**POWIEŚCI Z PODAŃ I DZIEJÓW POLSKICH**  
przez **Antoniego Wieniawskiego**, 2 tomy, cena  
rs. 1 kop. 50.

## GIMNASTYKA DOMOWA

dla użytku dzieci i dojrzałych osób według  
najnowszych autorów francuzkich i niemiec-  
kich ułożona, w dwóch częściach, z li-  
cznymi drzeworytami; część I: ćwiczenia poko-  
jowe bez przyrządów, ułożył **J. B. Wagner**;  
cena rs. 1. Obadwa dziełka nabyć można  
w drukarni wydawcy przy ulicy Krakowskiej-  
Przedmieście Nr. 391, oraz we wszystkich  
księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

## Od wydawcy pism Mickiewicza.

Ukończywszy w zupełności wydanie pism Mickiewicza w 8 tomach, wraz z obszernym życiorysem jego, a pragnąc upowszechnić te arcydzieła największego naszego poety i uczynić je przystępniejszemi nawet dla mniej zamożnych rodzin polskich: postanowiłem **znakomitą obniżeniem ceny dotychczasowej** ułatwić żądania, przez ogół czytelników nieraz objawiane. Ogłaszam więc niniejszemu, że ośm tomów pism Mickiewicza, z portretem autora, obniżam na krótki czas z ceny dotychczasowej rsr. 10, **na rsr. 5**, wydanie zaś tychże pism w 8 tomach, na papierze welinowym z portretem poety i 8 stalorytami z ceny rsr. 15, **na rsr. 7**. Osoby na prowincyi zamieszkałe zechcą dołączyć na koszt przesyłki za każdy egzemplarz 8-tomowy rsr. 1.

Warszawa, dnia 1 stycznia 1860.

S. H. Merzbach.

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH  
**Michała Glücksberga**

przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście

Nr. 9 (411),

otrzymała na skład główny dziełko p. n.

## ZIARNA I PLEWY,

pisma wierszem oryginalne i tłumaczone przez  
**Władysława Sabowskiego**. Cena egzemplarza  
rs. 1. Nabyć można w znaczniejszych księgar-  
niach w Warszawie i na prowincyi.

W ciągu roku bieżącego wyjdą z druku  
w trzech tomach:

**PIOSENKI LIRNIKA POLSKIEGO,**

napisał

**MIECZYSLAW PIOTR SAN.**

Prenumerować można we wszystkich księgar-  
niach i składach materiałów piśmiennych  
w Warszawie. Dla mieszkańców Warszawy,  
cena przedpłaty za całe trzy tomy z 72 ak-  
kuszy złożone, a zawierające str. 1296 samego  
tekstu, oznacza się na rs. 3. A ponieważ każdy  
tom stanowić będzie wyłączną całość, przeto  
i prenumerata na jeden tom po rs. 1 przyjętą  
być może. Całe dzieło wychodzić będzie zeszy-  
tami, i każdy zeszyt oddzielnie nabywany być  
może za kop. 30. Na prowincyi, w Cesar-  
stwie i za granicą, prenumerować można na  
wszystkich stacyach pocztowych, jako też  
i w księgarniach, za dopłatą na koszt przesyłki  
za całe dzieło kop. 60, czyli razem z przesyłką,  
prenumerata wynosić ma rs. 3 kop. 60. Dla pp.  
Księgarzy skład główny w Warszawie, w księgar-  
ni Gustawa Gebethnera i Spółki Pierwszy zeszyt  
wyjdzie w połowie Marca b. roku. Dla uniknie-  
nia zwłoki w odbiorze pierwszych zeszytów  
proszę osoby, któreby zaprenumerować zechciały,  
aby przedpłatę na całe dzieło przesyłać raczyły  
wprost do Drukarni **K. Rowalewskiego** w War-  
szawie, przy ulicy Królewskiej Nr. 1065, z ozna-  
czeniem miejsca gdzie chcą mieć przesłane, a  
najpierwsze zeszyty bezzwłocznie wysłane  
mieć będą. Do każdego zeszytu nuty *gratis*  
dołączają się.

Nakładem sztycharni nut muzycznych A.  
Pecq et Comp. ulica Miodowa Nr. 482 (4),  
wyszedł **Pierwiosnek, mazur na fortepian,**  
ofiarowany **J.W. Pannie Annie Janiszowskiej**  
przez **Józefa Sosnkowskiego**. Cena złp. 1 (kop.  
15). Sprzedaje się we wszystkich księgarniach  
i składach nut muzycznych w Warszawie.

Ze Sztycharni nut muzycznych A. Pecq et  
Comp. ulica Miodowa Nr. 482, wyszedł **WALC**  
pod tytułem: *a ma mère couronne de lierre.*  
*Valse composé par St. Giépart.* Cena złp. 1 gr.  
15 (kop. 22 i pół) Dostać go można we wszy-  
stkich księgarniach i składach nut w War-  
szawie. Skład główny w Zakładzie litograficznym  
A. Pecq et Comp.

PATENTOWANE ZAKŁADY TECHNICZNE

**LUDWIKA SPIESS**  
Skład Główny w Warszawie

przy ulicy Senatorskiej Nr. 464j5 obok  
Kościoła PP. Kanoniczek na placu Ra-  
tuszowym, wprost gmachu Teatralnego.

Poleca się doborem towarów aptecznych,  
artykułów używanych w gospodarstwie i go-  
rzelnictwie, — oraz patentowanymi lakierami  
i farbami olejnymi tartami (własnej fabryki),  
we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach  
po cenach ujemiarzowskich. Obstalunki  
wszelkie uskuteczają się z największą akura-  
nością i pośpiechem.

## DOM HANDLOWY

**N. S. BRÜNER & COMP.**

Ma honor zawiadomić prześwietną publi-  
czność, że oprócz exstującego Składu To-  
warów galanteryjnych przy ulicy Miodowej  
pod Nrem 492, z dniem 13m grudnia r. z. o-  
twarty został

## W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście  
(pod Nrem 15 nowym)

## Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich,  
angielskich, i innych w najkompletniej-  
szym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stołowe i ściennie, Świeczni-  
ki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wis-  
zące, Konsolki, Bronzy do firanek, Laski, Bro-  
szki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas.  
Spierurgi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilare-  
sy, Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelana

chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Pa-  
letoty gutaperkowe, Przybory do podróży,  
Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, My-  
dła i wszelkie wyroby brązowe i porcelanowe.  
Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej  
wymieniony Dom handlowy starać się będzie  
przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usłu-  
gę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie  
nadal na zaufanie i na względy, którymi dotąd  
Publiczność go zaszczycała.

## FABRYKA WYROBÓW LNIANYCH

### W ŻYRARDOWIE

STACYARUDA GUZOWSKA.

Skład Główny w Warszawie Nr. 441, ulica  
Krakowskiej-Przedmieście, naprzeciw 00.  
Bernardynów.

Rozszerzywszy na skalę odpowiednią po-  
třebom handlu fabrykację wyrobów czysto  
lnianych, przez urządzenie w roku bieżącym  
tkalni maszynowej, Fabryka Żyrardowska  
wszelkim żądaniom zadość uczynić jest zdolną,  
dlatego poleca względem Szanownej Publicz-  
ności wyroby swoje, dokładnością fabrykacji prze-  
wyższające zagraniczne. gwarantując zarazem  
wyrób z czystego lnu każdej sztuki opatrzo-  
nej cechą fabryczną. Dokładny asortyment  
cienkich płócien webowych, chusteczek do no-  
sa, bielizny stołowej z nowymi gustownymi de-  
seniami, zaspokoi najwyszukiawsze potrzeby  
tej części prześwietnej Publiczności, która zna-  
czniejsze zakupy na wyprawy lub tym podob-  
ne potrzeby czynić będzie. Fabryka ma hon-  
or zwrócić uwagę kupujących na płótna  
sprzedawane w walcach bez sztucznej appre-  
tury, jako na artykuł bardzo w użyciu prakty-  
czny. Worki zbożowe bez szwu, Fabryka po-  
siada ciągle w zapasie. Przyjmuje obstalunki  
na wałtuchy do wełny lub płótno wałtuchowe,  
na woreczki defekacyjne bez szwu i inne tym  
podobne fabrykaty, według danej miary i wzor-  
u. Po ustawieniu nowych maszyn angielskich,  
rozpoczęto w roku bieżącym fabrykację nici  
lnianych, który to artykuł w różnych gatun-  
kach w składach żyrardowskich sprzedawa-  
nym będzie. Panom Fabrykantom tak w Kró-  
lestwie jak Cesarstwie, Fabryka Żyrardowska  
ma honor polecić przedsię wziętą oraz pakula-  
ną własnej produkcji, surową i bieloną, jako  
odznaczającą się dokładnością wyrobu i przy-  
stępną ceną. Zakup lnu miedlonego (nie cze-  
sanego) dokonywa Fabryka bez przerwy na  
miejsce w Żyrardowie, zastawiając cenę ku-  
pna do gatunku i czystości materiału. Ceny  
stałe fabryczne wyrobów Żyrardowskich, są  
następujące: — Płótna kopowe, appretowane,  
sztuka 60 łokci, od rs. 11 kop. 70, do rs. 15  
kop. 70; w rollach bez appretury, 60 łokci, od  
rs. 11 kop. 10, do rs. 19 kop. 20. Płótna webo-  
we, appretowane, sztuka 60 łokci, od rs. 16 k.  
50, do rs. 25 kop. 65; appretowane, sztuka 70  
łokci, od rs. 26 kop. 25, do rs. 90; w rollach  
bez appretury 70 łokci, od rs. 22 kop. 40, do  
rs. 52 kop. 50. Przeciśradłowe bez szwu, sztu-  
ka na 12 przecięsadeł, od rs. 25 kop. 20, do  
rs. 33. Bielizna stołowa, garnitur na 6 osób,  
od rs. 5 kop. 70, do rs. 15 kop. 60; na 12, od  
rs. 11 kop. 25 do rs. 34 kop. 50; na 18, od rs.  
20 kop. 55, do rs. 45; na 24, od rs. 28 kop. 80,  
do rs. 69; obrusy różnej wielkości za sztukę od  
rs. 2 kop. 10, do rs. 33; serwety do kawy, od  
rs. 1 kop. 40, do rs. 4; serwety stołowe za tu-  
zin, od rs. 4 kop. 20, do rs. 18; serwety desse-  
rowe za tuzin rs. 3 kop. 60. Różne wyroby:  
ręczniki, za tuzin od rs. 4 kop. 80, do rs. 12;  
chustki do nosa, za tuzin od rs. 2 kop. 40, do  
rs. 9; skarpetki niciane za tuzin, od rs. 3 kop.  
60, do rs. 5 kop. 40; worki zbożowe bez szwu  
za sztukę, od kop. 55 do kop. 80; drylichy na  
ubrania letnie, szare i białe i t. p. Obstalunki  
z prowincyi nadsyłane tak do fabryki wprost  
jak i do składu głównego w Warszawie (Nr.  
441) obok stosownej waluty, natychmiast za-  
łatwiane będą. Sprzedaż powyższych wyro-  
bów uskutecznia w Warszawie, oprócz składu  
głównego Żyrardowskiego i skład wyrobów  
lnianych **W. Kaczyńskiego** i spółki, w domu  
Loewenberga Nr. 467a ulica Senatorska — zaś  
na prowincyi w Augustowie **E. L. Reycheinstein**,  
w Brześciu Litewskim **J. Gluchowski**, w Białej  
**A. Szeinberg**, w Janowie, **N. Ehrlichster**,  
w Kaliszu, **A. Gębicki**, w Kielcach, **H. Arndt**,  
w Koninie, **J. Dawidowicz**, w Lublinie, **Sklep**  
**ubogich**, w Łodzi, **Skład Fabryki Żyrardow-**  
**w Łowiczu, F. Elechowicz**, w Olkusz, **R. Gold-**  
**stein**, w Opatowie, **K. Eybuschütz**, w Płocku,  
**L. Reycheinstein**, w Piotrkowie, **A. Szydłowski**,  
w Radomiu, **Sklep ubogich**, w Rawie, **Heymann**,  
w Sandomierzu, **F. Dutreppi et Comp.**, w Siedl-  
cach, **St. Białostocki**, w Sieradzu, **F. Münster**,  
w Stopnicy, **S. Rosenberg**, w Tomaszowie, **H**  
**Galeski**, w Żarkach, **E. Fromme**.



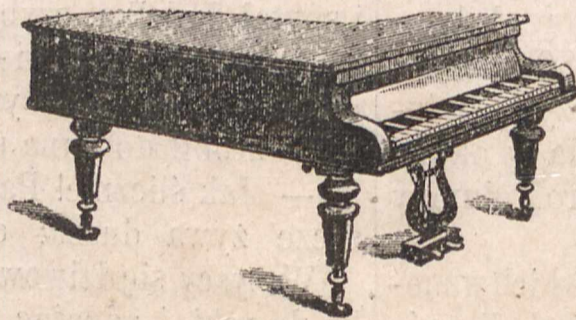
## KSIEGARNIA

Skład nut muzycznych

I MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

**HENRYKA HURTIG**

W KALISZU,



poleca się szanownej publiczności wyborem najnowszych dzieł literatury polskiej, fruncuzkiej i niemieckiej, książek dziecinnych ilustrowanych i szkolnych, przyjmuje przedpłatę na wszystkie pisma peryodyczne w kraju i zagranicą wychodzące; utrzymuje również

## SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

z najcelniejszych fabryk krajowych i zagranicznych, po cenach umiarkowanych; przyjmuje wszelkie zamiany i obstalunki na fortepiany, pianina, organy, melodikony, orchestrione i t. d., po cenach stałych fabrycznych.

**Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych War-  
szawskich.**